**Miesięcznie 1 zł.**
prenumeratę przyjmuje każda poczta

**1 egz. 30 groszy.**

# Moje Powieści

**ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH**

Rok IV. **Niedziela, dnia 26 lipca 1936 r.** Nr. 30.

# SAMOTNOŚĆ



A kiedy ziemię otuli cisza
I ludzie już w domach swoich zasną,
Tak bardzo lubię samotna zostać,
I znaleźć chwilkę dla siebie własną.

Lubię zagłębić się w myśli swoje
I przyciszoną wieść z niemi mowę,
Albo pomarzyć czasami lubię,
Gdy przyświecają w noc gwiazdki płowe.

Ogromnie lubię nieraz się zaszyć
W kąt bibljoteki i godzin wiele,
Przeżyć najcudniej, najmilej spędzić,
Ot, z książką dobrą — mym przyjacielem

Kartę za kartą odwracać lubię,
I myśleć o tem, że życie kryje
Tak dużo w sobie przepięknej treści,
Że szczęście cudne jest, lecz niczyje.

Tak lubię w wieczór zostać samotna
I znaleźć chwilkę dla siebie własną,
Gdy już pogasną zorze w błękicie,
I dobrzy ludzie już w domach zasną.

*Marja Zemmlerówna.*

MARJAN BRONISŁAWSKI

29)

# Szumowiny

*Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich*

— Hm... komuż ich nie potrzeba! Ale oprócz tego mam jeszcze inną sprawę do załatwienia z panem.

— Tak? No, to siadaj i mów. Ale przedtem zapal sobie porządne cygaro.

Przysunął do niego pudełko z cygarami, sam oparł się wygodnie w miękkim fotelu i czekał.

— No, cóż mi powiesz? — rzucił podczas gdy Karl zapaliwszy cygaro, zdawał się rozkoszować wonnym dymem.

— Chciałem panu powiedzieć, panie Harden, że dobrze mi tu jest.

Harden zaśmiał się szeroko.

— Spodziewam się. Robota żadna, jeść i pić poddostatkiem, dziewczęta lgną do ciebie, jak muchy do miodu...

— To też właśnie — przerwał mu Karl. — Kobiet do licha, ale tej, którąbym naprawdę chciał mieć przy sobie, niema.

— Jakto?

— Moja dziewczyna jest bardzo daleko stąd, aż w Chicago. Pisałem, żeby przyjechała, ale dostałem odpowiedź, że chętnie przybędzie ze mną, jeżeli sam po nią pojadę. Inaczej nie chce ruszyć się z Chicago.

— Cóż to za jedna, ta twoja dziewczyna?

— Prawdziwa z naszych. Poznałem ją już dwa lata temu i zaduszyliśmy się w sobie. Ale jak przyszły na mnie ciężkie czasy, a ona, przez nieostrożność dostała się na trzy miesiące do więzienia, rozeszliśmy się, choć serce sięgnęło mnie gwałtem do niej. I teraz, kiedy byłbym w możności utrzymać ją przyzwoicie, kiedy nie potrzebowałaby narażać się wiecznie na aresztowanie za drobne kradzieże po sklepach, bo z tego co zarabiam, moglibyśmy dostatnio żyć oboje, — ona zaczyna grymasić i nie chce do mnie sama przyjechać. To odbiera mi humor, a kiedy jeszcze pomyślę, że może ona tam znalazła sobie kogo innego, a może chce zupełnie puścić kantem, wściekłość mnie porywa.

Harden słuchał uważnie, nie odrywając wzroku od twarzy Karla.

— No, — odezwał się, puszczając kłęb dymu, — ale cóż ja ci na to poradzę?

— Właśnie chciałem pomówić z panem, czy nie mógłbym pojechać do Chicago na kilka dni. Pieniądze mam, teraz dostanę swój procent za ostatni transport, to mógłbym ubrać ją przyzwoicie i przywieźć. Wynająłbym dla niej mieszkanie gdzieś na uboczu i nie potrzebowałbym uganiać się za dziewczętami...

— Aha — przerwał mu Harden. — A może masz zamiar żenić się z nią?

— Eh, co do żeniaczki, to znów nie! Któżby tam wiązał się na zawsze... Ale tak jak to często bywa bez niepotrzebnych formalności...

— Racja, najzupełniejsza racja. Baba to zawsze kula u nogi. Więc chciałbyś jechać do Chicago po nią?

— Tak.

— Hm... Ostatecznie nie jesteś w niewoli i możesz robić, co ci się podoba...

— Pojechałbym tylko za wyraźną zgodą pana, panie Harden.

— To bardzo ładnie. No, skoro tak, to możesz jechać Karl. Tembardziej, że przez dwa lub trzy tygodnie nie będzie dla ciebie żadnej roboty. Na przyszły miesiąc będę miał kilka dużych transportów, ale tymczasem nic nie przyjdzie.

— To doskonale. Bardzo panu dziękuję, że mi pan daje urlop na jakiś czas.

— Tylko pamiętaj, żeby to nie trwało dłużej jak dwa tygodnie. A nie każ się nabrać w Chicago. Powiem ci jeszcze jedno, jeżeli ta dziewczyna siedzi już z jakim łobuzem, zapomnij o niej, bo wplączesz się w awantury i kłopoty. Zresztą wiem, że nie jesteś głupi i potrafisz dać sobie radę. Kiedyż masz zamiar wyjechać?

— Choćby dziś na noc. Im prędzej pojadę, tem prędzej będę spowrotem.

— Jedź więc dziś. A jeżeli ją przywieziesz, pokaż-że ją przecie. Chciałbym widzieć twoją wybraną.

— Ładna dziewczyna, zobaczy pan. Ma dopiero osiemnaście lat, ale kuta na cztery nogi. Kilka razy była nawet ze mną na robocie i tak się sprawiła, że żaden chłopak nie byłby lepiej potrafił.

— No, to dobrze. Jedź więc i wracaj jak najprędzej. A zanim pojedziesz, wstąp jeszcze do mnie, przygotuję dla ciebie twój zarobek z ostatniej wyprawy.

Po wyjściu Karla z gabinetu Harden chwilę pomyślał, przeszedł się po pokoju i jakby powziąwszy jakieś postanowienie, nacisnął guziczek od dzwonka elektrycznego, znajdujący się pod biurkiem.

Nie upłynęło pięć minut, gdy do gabinetu wszedł jeden z najbardziej zaufanych członków bandy i w milczeniu stanął przed Hardenem.

Był to człowiek młody jeszcze, lat około trzydziestu, silnie zbudowany, o śniadej cerze i prawie czarnych włosach. Małe, przymrużone oczy, wąziutkie usta, mocno zaciśnięte, nadawały jego twarzy wyraz przebiegłości i okrucieństwa. Szrama, przecinająca policzek od skroni ku ustom, wyraźnie mówiła, że człowiek ten nieraz bywał w różnych przejściach, gdzie życie ludzkie ważyło się na ostrzu noża lub na końcu lufy rewolwerowej.

Louis Black, główny adjutant i pomocnik Hardena, znany w świecie przestępców jako „Lui Killer", rzadko brał udział w eskortowaniu transportów i bójkach, staczanych w obronie przemycanego towaru. Gdy jednak zdarzyło się, że on dowodził transportem, a eskorta była napadnięta przez ludzi przeciwnego obozu, na polu walki napewno zostawały trupy. Lui był znakomicie wyćwiczony w strzelaniu z rewolweru i równie dobrze potrafił obchodzić się z karabinem maszynowym. Strzelając, nie starał się celować tak, by przeciwnika tylko zranić, ale każda jego kula była niezawodnym posłańcem śmierci. Temu też zawdzięczał swe ponure przezwisko.



Dziewczęta pełniące dyżury w wiosce olimpijskiej zaprzyjaźniły się już z zagranicznemi zawodniczkami i prócz „oficjalnych" czynności chętnie pomagają im w różnych okolicznościach. Widzimy jak właśnie pewnej zawodniczce australijskiej wyciera dyżurująca ręcznikiem plecy — po treningu.

Harden używał go zwykle do najbardziej tajemniczych i ważnych robót. Był przekonany o lojalności zbója, mogące zaprowadzić Killera na krzesło elektryczne. Jego to kilkakrotnie nasyłał na znienawidzonego Gerbera, ale tamten zawsze potrafił uchronić się od zamachu i wszystkie wyprawy Killera spełzły na niczem.

— Słuchaj, Lui, — rzekł Harden, kładąc ciężką rękę na ramieniu Killera. — Mam dla ciebie ważną robotę.

Małe oczki Killera zaświeciły złowrogim blaskiem. Harden dojrzał ten blask i uśmiechnął się lekko.

— Tym razem tylko robota detektywa. Chcę, żebyś się osobiście przekonał, czy Karl wyjedzie dziś do Chicago. Nie mam wprawdzie dowodów do niedowierzania mu, ale niemniej, chciałbym się przekonać, czy mówi prawdę.

— Więc cóż mam robić? — spytał Lui.

— Karl ma wyjechać dziś wieczornym pociągiem. Trzeba, żebyś niespostrzeżenie wyjechał przed nim do New Yorku i uważał, gdzie się uda. Przypuszczam, że na którykolwiek dworzec kolejowy. Otóż musisz iść, czy jechać za nim wszędzie, dopóki się nie przekonasz naocznie, że rzeczywiście kupił bilet, wsiadł do pociągu i pojechał. Jeżeli zaś okłamywał mnie i zamiast wyjechać z miasta, zostanie, nie spuszczaj go z oka i przy pierwszej sposobności daj mi znać telefonicznie, gdzie on jest. To rzecz dla mnie ważna.

Wysunął szufladę biurka i wręczył Killerowi sporą paczkę dolarowych papierków.

— Tu masz na wydatki i nie potrzebujesz zdawać mi rachunku z tych pieniędzy.

Bandyta chciwie pochwycił podane mu pieniądze i nie przeliczając, schował z udaną niedbałością do kieszeni.

— Dobrze — rzekł krótko. — Przyda się, bo ostatnio miałem paskudnego pecha w karty. Więc cała robota polega na tem, że mam się dowiedzieć, czy Karl pojedzie do Chicago?

— Tak. A jeżeliby nie pojechał, masz go śledzić na każdym kroku, ale tak, żeby się nie spostrzegł. Bo powiem ci prawdę: znam go dopiero od kilku tygodni i chociaż, jak już powiedziałem, nie mam powodu do niedowierzania mu, djabeł nie śpi. Chcę wiedzieć z całą pewnością, że jest tym, za którego chce uchodzić.

— Zrobi się. Zaraz ulotnię się i będę czekać na niego przed miastem. Nie zauważy, że ktokolwiek za nim jedzie, bo ukryję się w krzakach przy bocznej drodze. Maszynę mam zaś dobrą i skoro go raz wezmę na oko, potrafię za nim jechać krok w krok niespostrzeżenie.

— Wybieraj się więc i uważaj, żeby ani on, ani nikt nie spostrzegł, że wyjeżdżasz.

Killer wyszedł, pokręcił się kilkanaście minut po knajpie, wypił kieliszek wódki, pożartował z jedną z dziewcząt i nieznacznie wysunął się z sali. Nie widziany przez nikogo, przeszedł do zajezdni, gdzie trzymał swój samochód kosztownej marki, otworzył tylne wrota i cichutko wyjechał na tyły domu, skąd przez krzaki i zarośla rychło wydostał się na główną drogę.

Skręciwszy na szosę obejrzał się, czy nikt go nie widzi i pomknął szybko w kierunku New Yorku. Ujechawszy kilkanaście mil, skręcił w wąską, boczną drogę, prowadzącą ku odległym stąd moczarom, wjechał w krzaki i upewniwszy się, że samochodu nie można dojrzeć z głównej drogi, usiadł wygodnie i paląc cygaro, patrzał na szosę wiodącą od „Rajskiego kącika".

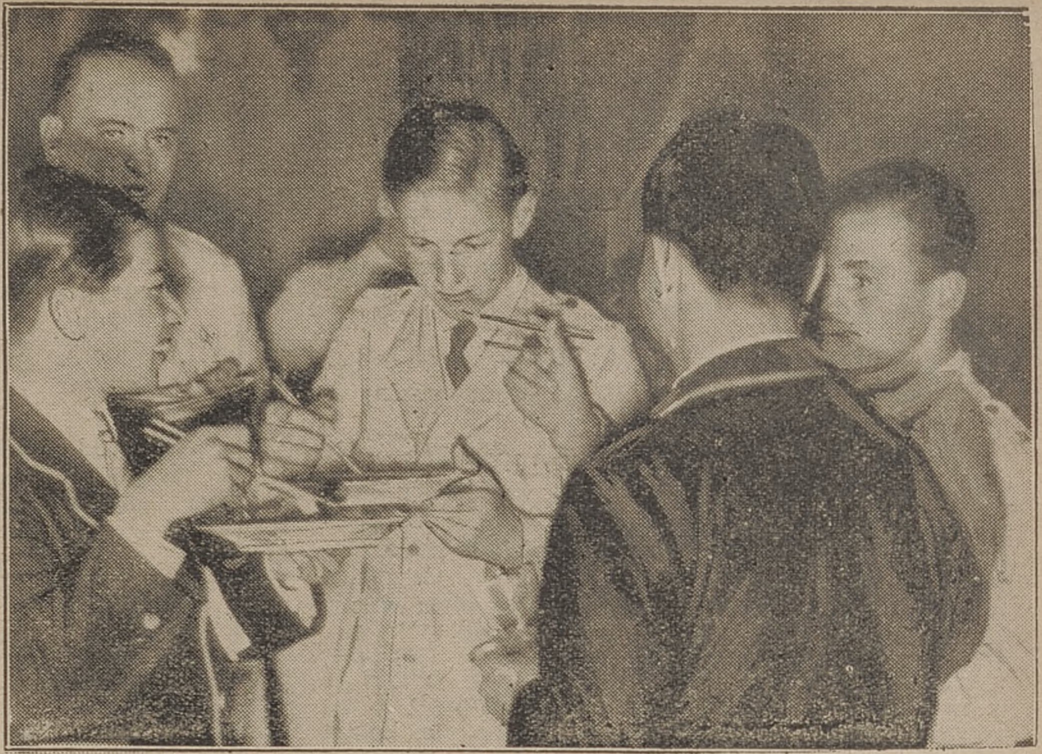
Po upływie niespełna dwóch godzin ujrzał zdaleka duży samochód Hardena, który, jak mu Harden mówił, miał odwieźć Karla do granic miasta.

Maszyna Hardena jechała ze średnią chyżością i wkrótce minęła miejsce, gdzie Killer oczekiwał. Lui poczekał chwilkę, poczem nacisnąwszy daszek czapki głęboko na oczy, ruszył w ślad tamtego samochodu.

Rychło dojechali do przedmieścia, gdzie maszyna Hardena zatrzymała się i wysiadł z niej Karl, niosący w ręku niewielką walizeczkę z przyborami podróżnemi. Szybko pożegnał się z kierowcą maszyny, którym był jeden z członków szajki Hardena i, nie oglądając się ruszył żwawym krokiem ku najbliższemu narożnikowi, gdzie znajdował się przystanek taksówek.

Killer odgadł jego zamysł i pewny, że Karl nie zauważył jadącego za nim samochodu, przejechał szybko i zatrzymał się opodal, patrząc ciągle w lusterko, umieszczone nad kierownicą w ten sposób, że odbijało dokładnie wszystko, co działo się poza maszyną.

Karl jednak domyślał się, że jest szpiegowany. Jak Harden jemu, tak on nie dowierzał Hardenowi i spodziewał się, że podstępny a chytry wódz bandytów pośle kogoś, by sprawdzić czy nie został okłamany.



Chłopcy niemieccy, przebywający w wsi olimpijskiej uczą się od Japończyków jeść poprawnie pałeczkami ryż.

Wyjeżdżać z New Yorku nie miał zamiaru, ale chodziło mu o to, by Harden był przekonany o jego wyjeździe, więc wsiadł do pierwszej z brzegu taksówki i kazał wieźć się prosto na jeden z dworców kolejowych.

W ślad za nim jechał samochód Killera, trzymający się ciągle w jednakowej odległości, by nie stracić tropu taksówki.

Karl śmiał się w duchu, widząc przez tylną szybę maszyny podążającego za nim bandytę, w którym już od pierwszej chwili poznał Killera i w myśli układał plan wywiedzenia szpiega w pole.

Przejechali przez całe miasto i taksówka stanęła przed dworcem kolei.

Wystawiwszy walizkę na chodnik, gdzie uwijali się posługacze w czerwonych czapkach. Karl zapłacił szoferowi i powierzywszy walizkę numerowanemu, udał się za nim do hali dworca. W kilka sekund po nim wszedł do hali Killer. Dojrzawszy Karla przy jednem z okienek kasowych, wmieszał się w tłum ludzi otaczających kasy i z odległości kilku kroków bacznie obserwował szpiegowanego.

Karl z całą swobodą zażądał w okienku biletu do Chicago, zapłacił za przejazd i domagał się osobnego przedziału z łóżkiem. Po chwili kasjer podał mu kopertę z biletami. Schował ją do kieszeni, podszedł do kiosku z gazetami, gdzie kupił kilka magazynów i skierował się wprost do przygotowanego do odejścia pociągu.

Przechodząc spowrotem przez furtkę w kracie, rzucił pobieżnie okiem na Killera, gapiącego się ciągle jeszcze na pociąg, uśmiechnął się z zadowoleniem i po chwili znalazł się na ulicy. Szybko przeszedł obok stojącego na uboczu samochodu Killera i skręciwszy w boczną uliczkę wszedł do narożnej apteki, gdzie stanąwszy o kilka kroków od okna wystawnego doczekał się widoku Killera, siadającego do maszyny i szybko odjeżdżającego.

— Tak — mruknął, wychodząc z apteki. — Teraz mam przynajmniej tę pewność, że nikt nie będzie mnie szpiegował. A spodziewam się, że cztery lub pięć dni wystarczy do zaznajomienia się z którymkolwiek ze strony owego Gerbera.

Wsiadł do tramwaju i pojechał do Brooklyna. Wieczór już był, gdy zapukał do mieszkania Burskiego.

— Jak się masz, Karol! — zawołał uradowany gospodarz. — Już byłem niespokojny o ciebie, że tak długo nie dawałeś wiadomości. Rozgość się i opowiadaj, co słychać. Tylko patrzeć jak przyjdzie Stefan. Poszli z Haneczką na obrazki i powinni już wrócić. Ogromnie się ucieszą, jak cię zobaczą.

Karol Winters szeroko i szczegółowo zaczął opowiadać o wszystkiem, co przeszedł od czasu ostatniego widzenia się z Burskim.

— Zdaje mi się — mówił, — że wpadłem na właściwy trop. Wyciągnąłem z murzyna wszystko co mogłem wyciągnąć, nie wzbudzając podejrzenia. Wynika z tego, że Harden tej samej nocy, kiedy zamordowano brata, a raczej następnego ranka, zakradł się do pokoiku murzyna i zabrał mu garnitur ubrania. Chodzi teraz o to, by wyświetlić w jakim celu i dla kogo zabrał to ubranie.

— Ale jakże tu można dojść do tego — zapytał Burski.

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że ubranie to było potrzebne dla mordercy mego brata. A ponieważ właściciel skradzionego ubrania jest człowiekiem ogromnego wzrostu, przypuszczam, że i ten ktoś, dla którego potrzebne było ubranie, jest równie wysoki i tęgi.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

5)

# Skarby Chana Mugańskiego

*Powieść sensacyjna* *Tłum. Jerzy Laskowski*

Część I.

Gafani był zazdrosny, jak tylko mógł zazdrościć mężczyzna o ciemnej duszy i niewyraźnych instynktach...

I miłość jego do Węgierki była podobna.

Chciałby wpić się w te usta, dojrzałe jak wiśnia, pocałunkiem do ukąszenia podobnym; chciałby podporządkować sobie to dumne i piękne ciało, takie dumne, jak te czysta linja ust... Czyż nie te usta pchnęły młodego księcia Lobkowitza w objęcia śmierci, pozbawiwszy go rozumu? .

Dotychczas Gafani miał powodzenie u kobiet.

On umiał działać na nie swoją pięknością i, zazwyczaj, na początku używał dla zdobycia kobiet różnych sposobów, jak cierpliwości, hołdów, pochlebstw, a następnie, gdy one, mdlejąc, padały w jego objęcia, on przypieczętowywał swoje zwycięstwo czarem siły, częstokroć brutalnej i okrutnej. Kończyła się rycerska gra, zaczynał rządzić despota.

Tak było dotychczas.

Tak byłoby i teraz, gdyby nie przyplątał się ten azjatycki książę.

Świadomość, że Ammalat jest pod każdym względem poważnym i niebezpiecznym rywalem, doprowadzała go do wściekłości.

— No, cóż, wasza wysokości, będziemy walczyli... i zobaczymy, kto zwycięży! — rzucał w myśli wezwanie, gotów na wszystko, byleby zwyciężyć.

Zewnętrznie natomiast był bardzo uprzejmy dla Ammalata. Okazywał mu poważanie i uwagę oraz moc drobnych, obowiązujących przysług.

Rozpytywał się o Buganji, jej obyczajach, o pałacu chana, o dzieciństwie Ammalata, o korpusie paziów...

Starał się pod osłoną zainteresowania jaknajwięcej się dowiedzieć, wypytać i wkraść się w zaufanie.

To ostatnie nie bardzo dobrze mu się udawało. Ammalat nie przekraczał pewnej, określonej — granicy. Unikał odpowiedzi na zapytania o Ałmazchanie, czy żyje, gdzie się znajduje, ile lat przeszło od ostatniego spotkania wnuka z dziadkiem?...

Gafani, znający kilka europejskich i wschodnich języków, zainteresował się mugańskiem narzeczem. Ammalat chętnie nauczył go kilkudziesięciu mugańskich słów, które ocalały w jego własnej pamięci, a Gafani zapisywał, powtarzał, uczył się.

— Nawet, gdyby to nie dało mi żadnej praktycznej korzyści, już sama nauka jest pożyteczna i przyjemna... Prawda, wasza wysokości?...

Dwie osoby odnosiły się w obozie z wyraźną niechęcią do Gafaniego, to doktór Zeraicz i Senegalczyk Donkunda.

Kulturalny Zeraicz ograniczał się do chłodnej obojętności. Prymitywny Donkunda zaś wyrażał swoją niechęć z całą prymitywnością.

Gafani, który nie należał do tchórzliwych, a już w każdym razie był bezczelny i pełen tupetu, tracił panowanie nad sobą, pod wpływem gorącego spojrzenia czarnego wielkoluda, mimo, że w swojem życiu bywał w różnych perypetjach i nierzadko poddawał się bojaźni.

Wielkie oczy czarnego Donkundy, jego żółtawe białka, któremi połyskiwał, jak koń, nic dobrego nie wróżyły. Było to spojrzenie, wywołujące złowieszczy lęk.

Przypadek, a raczej treść scenarjusza dała możność Donkundzie namacalnie przejawić uczucia, które żywił względem Gafaniego, w pełnem tego słowa znaczeniu.

Podług scenarjusza w filmie był następujący moment: Gafani zabłądził w nocy w labiryncie ruin zamarłego miasta. Półnagi murzyn-atleta, skradając się stale za nim, na znak reżysera rzuca się na Gafaniego i zaczyna go dusić, dopóki kilku europejczyków, którzy przybiegają z pomocą, nie uwolnią ofiary z rąk murzyna.

## 10. Zdjęcie po zdjęciu

Pod resztkami muru, otaczającego kiedyś zamarłe miasto, Benau, niby wódz przed walką, daje ostatnie dyspozycje Gafaniemu, Donkundzie, Maniji d'Or, ośmiu „europejczykom", Brodzkiemu i drugiemu operatorowi:

— Scena musi wypaść z życiem, więcej, jak z życiem, gorąco w tempie! Wszyscy musicie mi pomóc. Gafani, pana czeka nierówna walka, gdyż Donkunda jest przynajmniej trzykrotnie silniejszy, jednak musi pan okazać zacięty opór.

A ty, Donkunda, musisz poskromić swój temperament, gdyż w przeciwnym wypadku połamałbyś kości panu Gafaniemu, a on mi jest potrzebny i tu i w Paryżu.

Ten wstęp zaniepokoił Gafaniego, który czuł, że Senegalczyk odnosi się do niego nieprzyjaźnie.

Wbrew dyscyplinie, Gafani przerwał reżyserowi:

— Panie Benau, czy nie można byłoby się obejść bez tej sceny?

— Czy pan zwarjował? Bez tej sceny... To musi być najbardziej „bojowy" numer! I będzie! Będzie! Albo Benau nie jest Benau!

— W takim razie może Chan Mugański z właściwą mu uprzejmością i w tym wypadku mnie zastąpi...

— No wie pan, to jest już szczyt bezczelności! Pan będzie otrzymywał wielkie sumy, żyjąc u nas, jak w raju i nic nie robiąc, a Chan Mugański będzie pana zastępował! Lepiej niech pan zerwie kontrakt i wynosi się na cztery wiatry, a Chan Mugański z powodzeniem zastąpi pana do końca... Życzy pan sobie? Tak czy nie?

— Pan w ten sposób stawia kwestję...

— A jakże inaczej?.. On zastępuje tam, gdzie pan jest bezradny, ale żądać zastępstwa w ordynarnej bijatyce dlatego, że pana tchórz obleciał, to już bezczelność!.. A jeśli Donkunda trochę pana pomiętosi, też niewielka strata... Ma pan do dyspozycji bezpłatną pomoc lekarską w osobie czcigodnego doktora Zeraicza...

— Wy zaś — zwrócił się Benau do „europejczyków" szoferów, lokajów, chłopców stajennych, których zdążył już nieco wyćwiczyć w drugorzędnych rolach — też musicie się podciągnąć... Więcej hazardu! Donkunda będzie was rozrzucał, a wy czepiajcie się go znowu, tarzajcie się z nim, jak psy, które osaczyły niedźwiedzia... Zrozumieliście?

— Zrozumieliśmy — chórem odpowiedzieli „europejczycy", jednakowo dobrze przyodziani w ubrania sportowe lub cywilne.

— Manija d'Or zdala obserwuje tę scenę... Proszę nie zapominać, że pani jest wampem! Jak długo Gafani jest w krytycznej sytuacji, pani tryumfuje. Z chwilą, gdy został uratowany, pani ucieka. Brodzki kręci zdołu, jego pomocnik zgóry, z muru. Na miejsca marsz!

Donkunda miał na sobie lwią skórę, która jednak nie przykrywała jego pięknej ciemno-bronzowej muskulatury Herkulesa. Gdy Senegalczyk skradał się za Gafanim, jak kolosalny, czarny cień, ciarki szły po skórze.

Skok...

Nikt nie widział takiego skoku! Jak pantera, błyskawicznym łukiem Donkunda spadł zgóry na Gafaniego...

Gafani walczył z zaciętością, rozwścieczony posądzeniem o tchórzostwo i wykonując przytem siłę — daleko ponad miarę średniej ludzkiej.

W zapale walki uderzył kilka razy Donkundę, doprowadzając go tem do wściekłości.

Senegalczyk, zapomniawszy o mądrych radach reżysera, poczęstował Gafaniego takim ciosem, że temu iskry posypały się z oczu. Następnie chwycił znienawidzoną ofiarę za gardło i zaczął dusić swojemi niesamowitemi rękoma... Gafani rzęził...

Benau wypuścił „europejczyków".

Ośmiu ludzi, walcząc zawzięcie, odciągnęło Donkundę od zmaltretowanej ofiary. I doprawdy robiło to wrażenie walki psów z osaczonym niedźwiedziem. Donkunda dźwigał na sobie i rozrzucał „europejczyków" na wszystkie strony potężnemi rzutami. I znowu szarpali i osaczali go, tworząc jedno wielkie kłębowisko ludzkich ciał.

Aparaty trzeszczały u góry i u dołu.

— Brawo, brawo! — dreptał na krótkich nóżkach zadowolony Benau.

Niestety Gafani nie był zadowolony...

Blady, z mętnem spojrzeniem, stał oparty o tysiącletnią ścianę. W całem ciele miał uczucie, jakby go ciężarowe auto przejechało.

Benau próbował pocieszyć biedaka:

— Bądź pan zadowolony, że skończyło się na drobnostce... Mogło być gorzej... Pan słyszał zapewne o ciężkich wypadkach, jakie zdarzają się przy zdjęciach? „Europejczykom" też się dostało dobrze. Patrz pan, jak wyglądają — wskazał na statystów, którzy w pomiętych i zniszczonych ubraniach masowali sobie plecy, boki, ręce... Dwuch miało twarze pokrwawione.

Ale dla Gafaniego to było marnem pocieszeniem.

Jako tako dobrnął do swojego namiotu.

Jutro w pustyni są zdjęcia z jego udziałem. Trzeba odpocząć i nabrać sił.

Przeklinał Benau'a i Donkundę na czem świat stoi.

Ale — cierpliwości!

Za wszystkich i za wszystko on się odemści jego wysokości... Cierpliwości!

Wczesnym rankiem, gdy tylko słońce wypłynęło nad horyzontem, nieumęczony Benau zbudził wszystkich arją „Madelaine", którą śpiewał przez tubę.

Sygnał:

— Za piętnaście minut wszyscy ci, którzy byli zawiadomieni wieczorem, muszą być gotowi do zdjęć!

Dla sceny „z baranem" Benau upatrzył już malowniczy zakątek, odległy o kilka kilometrów. Było tam kamieniste wzgórze i pagórek z drzewami i jakieś dziwne, zastygłe fale piasku.

Gafani i jego sobowtór byli zupełnie jednakowo ubrani, jak zresztą tego wymagała technika zastępstwa.

Oboje na koniach. Z odległości absolutnie nie można było ich odróżnić. Podobieństwo było jeszcze bardziej rażące, gdyż siedząc na koniu Gafani tracił na wzroście i był zaledwie o jakie dwa palce wyższy od Ammalata.

Na przedzie jechał stępa Chan Mugański z Mar-Molli.

Za nimi, samotnie, niezadowolony i zazdrosny Gafani. Dalej — kilka samochodów. Pochód zamykał młody Indjanin, który ciągnął na sznurku barana z odchylonemi wtył, kręconemi rogami.

Czworonogi artysta beczał i upierał się nogami. Indjanin zachęcał go jakimś gardlanym dźwiękiem i wtedy baran biegł podskakując.

Gromenia jechał z Brodzkim w samochodzie i grając na mandolinie śpiewał „Santa Lucja". Starzec był wesoły i dumny.

Wesoły, gdyż przy jego pogodnem i pełnem radości życia usposobieniu nie można nie być wesołym w ten piękny poranek, a dumny był dlatego, że będzie brał udział w zdjęciach.

Najpierw jego „nakręcą", a później scenę z baranem.

Jego zadaniem jest pocieszać Mar-Molli, opowiadając jej różne wesołe kawały, przyczem musi zabłysnąć mimiką swojej twarzy, ruchliwej jak gumowa maska.

A narazie:

„Santa Lucia, Santa Lucia"... wyśpiewywał resztkami swojego głosu, zachrypniętego, starczego, w którym pozostała tylko szkoła i ekspresja.

Rozłożyli się pod wzgórzem, pokrytem zielenią. Aż do stóp wgórza dochodziły szaro-żółte fale piasków pustyni.

Benau biegał, szukając odpowiedniego miejsca dla Mar-Molli i Gafaniego.

Brodzki ze swoimi dwoma kolegami ładował filmy do aparatów.

Ammalat łączył strzemiona paskiem pod brzuchem gorącego anglo-araba, ażeby się nie rozeszły, gdy cały ciężar swojego ciała przeniesie wprawo i w dół, mknąc nad głęboko wkopanym rogatym partnerem.

Wzmocniwszy strzemiona rzemieniem i sprawdziwszy działanie popręgu, Ammalat wyprostował się i spotkał wzrok fijołkowych ócz Mar-Molli. Te wielkie oczy, ocienione długiemi rzęsami, tak długiemi, że Węgierka do zdjęć nigdy nie używały sztucznych, powiedziały mu tak dużo...

Usta zaś spytały:

— A czy bez tego nie można?

— Nie można! Za mały opór i z siodła wysadzi...

U niego również tym małoznaczącym słowom towarzyszyło głębokie spojrzenie. Rozumieli się bez słów. Tak niewypowiedzianie dobrze czuli się razem na łonie przyrody, pod tym słońcem, które zaczynało już palić...

Zdala obserwował ich Gafani, nerwowo uderzając szpicrutą po butach.

Teraz już nie miał wątpliwości, że głębsze uczucie łączy Mar-Molli z Ammalatem.

Tem gorzej dla jego wysokości...

Gafani podszedł do nich z wymęczonym uśmiechem na twarzy i zawrócił się do Mar-Molli:

— Prawda, jak przyjemnie będzie obserwować nowy zdumiewający wyczyn, który szykuje nam Chan Mugański?

— Już zaczynam się denerwować! — odpowiedziała, a spostrzegłszy, że zdradziła się w ten sposób, poczerwieniała jak młoda panienka.

Gromenia, w oczekiwaniu swojej sceny, postanowił przejść się.

Grając na mandolinie zadzierżysty marsz bersaljerów, poszedł w kierunku szaro-żółtych fal.

Odczuwał wprost dziecinne zadowolenie, zanurzając nogi po kostkę w suchy, sypki i ciepły piasek.

Zrobiwszy ze sto kroków, obejrzał się w stronę wzgórza, obserwując własne ślady.

Chciał krzyknąć coś wesołego w stronę kolegów, którzy pozostali na zielonym brzegu.

Ale żart zastygł na jego ustach...

Ziębnąc, Gromenia poczuł, że nie może ruszyć się z miejsca, nie może nie tylko wyrwać nóg z objęć piasku, ale nawet poruszyć niemi nie jest w stanie. Piasek wciągał go. Nogi wrastały coraz głębiej!

Bzdury! To mu się tylko wydaje!

Zrobił kilka bezowocnych prób. Zimny pot pokrył całe jego ciało. Oniemiał ze strachu...

Miłosierny Boże, on staje się coraz mniejszy, piasek sięga mu już po kolana...

Gromenia przypomniał sobie, jak giną wędrowcy, wciągani przez ruchome piaski.

Nie tylko ludzie... Nawet wielkie zwierzęta, jak bawoły, nosorożce, słonie!...

I zaczął krzyczeć dziko, przenikliwie, niesamowicie...

A tamci nawet nie słyszą!

Albo słyszą i nie zwracają uwagi.

Przestrzeń mniejsza i zagłusza jego wołanie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Wśród warjatów
czyli
## Upiór zamku Sokolskich
(Romans)

98)

„Widzisz, mój drogi mężu,“ rzekła Lola i objęła czule Kazimierza za szyję, „upał dokuczał ci bardzo. Teraz po burzy ochłodzi się powietrze!“

„Och, niestety nie widzę piorunów“, zawołał Kazimierz. „Zdaje mi się, że odzyskam wzrok, jeżeli oślepiający blask elektrycznej iskry obije się o moje oczy. — Proszę cię, chodźmy na balkon!“

„W tej burzy? Co za myśl!“

„Anielciu, spełń moją prośbę. Dopiero przed chwilą pytałaś mię, czy nie mam jakiego życzenia?“

„Ale Kazimierzu, — proszę cię, przecież nie będziesz stał na deszczu!“

„Nad balkonem wzniesa się duży gzyms. Anielciu, podaj mi twoją rękę i wyprowadź mię na balkon.“

Chorzy mają zwykle nieugiętą wolę. Lola zauważyła to już kilka razy u Kazimierza i dlatego zaprowadziła go do szklanych drzwi, wychodzących na balkon.

Lola, drżąc na całem ciele, tuliła się do ukochanego mężczyzny. Lecz młody Zamski odsunął ją łagodnie.

„Anielciu, nie bój się. — Zresztą, jeżeli nie wypiłaś kawy, to idź i zjedz podwieczorek.“

„Nie, zostanę z tobą“, odparła Lola. „Boże, jaką straszna błyskawica! Drżę na całem ciele.“

„Szkoda, że nie widzę,“ westchnął Kazimierz; „ciemna noc otacza mnie ciągle, bez względu czy świeci słońce, czy pioruny targają niebieskie opony.“

Kazimierz wsparł się ręką na żelaznej balustradzie, którą trzymały olbrzymie karyatydy.

„Słyszysz szum rzeki, Warta grozi wylewem! Tak, ta spokojna zwykle rzeka, zamienia się czasem w morze. — Oh, znam ją wybornie od źródeł aż do ujścia. — W młodości była moim jedenym towarzyszem. Siadałem do łódki i pędziłem daleko na wartkich falach.“

W oczach biednego Kazimierza zabłyszczały dwie duże łzy i potoczyły się po wybladłych policzkach.

„Nie wiem, dlaczego ogarnął mną taki smutek, — przypominam sobie ciągle jedną bajką z dawnych czasów.“

„Nie myśl o tem!“ prosiła Lola.

„Oh, znam dobrze powód mojego smutku“! zawołał Kazimierz. „Mógłbym być szczęśliwym, a jednak żyję gorzej ostatniego nędzarza!“

W tej chwili rozległ się w salonie szelest. Lola obróciła się i zobaczyła lokaja Alfonsa.

Dawał znak Loli, że pragnie z nią mówić.

„Kto tam?“ zapytał ociemniały.

„Alfons! Zapewne chce mi znowu zameldować jakieś głupstwo!“

Wyszła z balkonu i przystąpiła do lokaja, ubranego w hrabską liberję.

„Co nowego?“ zapytała cicho, „dlaczego przybrałeś taką tajemniczą minę?“

„Pani hrabino, przyszła jakaś dama!“

„Dama“? zawołała Lola, „prawdopodobnie chce zwiedzić zamek, albo też schroniła się przed ulewą. Proszę jej powiedzieć, że właściciel jest chory i nie przyjmuje obcych ludzi.“

„Mówiłem to,“ odparł cicho Alfons, „lecz nie chce odejść! Powiedziała mi, że musi mówić z panią hrabiną!“

„Co za bezczelność! Nie przyjmę jej pod żadnym warunkiem. Proszę jej zanieść mój rozkaz!“

„Sądzę, że pani hrabina powinna zobaczyć ową damę,“ mówił niedbale Alfons, trzymając ręce w kieszeniach; „nieznajoma wypowiedziała kilka niezrozumiałych dla mnie słów, z których jednak wnioskuję, że w danym wypadku może być niebezpieczną dla pani hrabiny!“

„Gdzie ją wprowadziłeś?“

„Czeka na parterze, w pokoju myśliwskim. Zresztą ma coś takiego w sobie, że nie mogłem ją wyrzucić za drzwi. Widocznie jest przyzwyczajoną do rozkazywania.“

„Niech i tak będzie! — Proszę powiedzieć owej damie, że przyjdę za kilka minut.“

Lokaj wyszedł z salonu, a Lola udała się na balkon.

Położyła rękę na ciemnych włosach Kazimierza i rzekła czułym głosem:

„Kazimierzu, opuszczę cię na małą chwileczkę! Muszę zaglądnąć do gospodarstwa! Uważaj na siebie, mój drogi! Wrócę zaraz!“

„Idź, — idź,“ odparł Kazimierz drżącym głosem. — „Lecz, zanim odejdziesz, daj mi jeszcze całusa!“

Lola zarzuciła mu na szyję swoje śnieżne ramiona i całowała jego usta, oczy i włosy.

Po chwili wybiegła z salonu. W głębi duszy czuła niezwykle zaniepokojenie.

Co to jest tam za dama? Może Elżutka Rodeń, albo Anielcia? Lecz dlaczego czuła taką trwogę? — Ta dama jest bezwątpienia zupełnie obcą kobietą; przemocą weszła do zamku. Tak, postanowiła jak najprędzej zbyć tę wizytę i odprawić ją z kwitkiem.

Kazimierz stał tymczasem na balkonie i wsłuchiwał się w szum spienionych fal Warty.

„Wołasz mnie, mój drogi przyjacielu,“ zawołał grobowym głosem, — „wołasz: dlaczego ociągasz się położyć kres twojemu życiu i cierpieniu, — — przysiągłeś żonie, że nie użyjesz rewolweru, leżącego na biurku, — nie złamiesz jednak przysięgi, jeżeli się zawierzysz twojemu przyjacielowi; — wezmę cię w moje ramiona i zaniosę do krainy cieniów, gdzie przejrzysz znowu na oczy! A Anielcia złączy się także z tobą. Dla tych, którzy spoczywają na mojem dnie, wieczność jest tylko jedną sekundą.“

Ociemniały milczał, perliste łzy spływały mu z oczu.

„Samobójstwo!“ wymówiły drżące wargi. „Oh, zawsze gardziłem tem podłem, haniebnem słowem. — Lecz brak mi cierpliwości! — Nie, — nie, — naprzód! — Obecnie opuszczam Anielcię z myślą, że mnie kocha z całego serca! Lecz później, — później nadejdzie godzina, w której będę dla niej nieznośnym ciężarem! — Może zjawi się inny, niepozbawiony wzroku, — który zajrzy głęboko w jej serce! Przecież jest młodą, — nie, nie, — nie powinienem o niej wątpić! Lecz jak każda kobieta, trudno by przez całe życie była tylko dozorczynią chorych!“

„Czem jestem dla niej? Ciężarem! Nie chcę zamknąć jej życia i uwolnię ją od tego ciężaru!“

Kazimierz pochylił się nad balustradą. Wiatr bawił się jego włosem i zakrył całe czoło. Lecz nagle wyprostował się Kazimierz, a w jego twarzy odbijało się silne postanowienie. — —

„Nie, tutaj nie spełnię mojego zamiaru! Jeszcze raz muszę zobaczyć miejsca moich dziecinnych rozrywek. — Dzisiaj w nocy opuszczę moją ukochaną żonę. — Znam drogę i odnajdę ją z łatwością! — Tam na dole u stóp zamku jest przywiązane czółno. Przeprawię się niem na drugą stronę, — a fale pochwycą może w swoje objęcia rybaka i czółno!

„Tak, jeszcze raz postawię tam moje stopy. A potem — zginę w nurtach Warty, — która zaniesie moje zwłoki do morza. Tak, — nie mam innego wyjścia!“

Ociemniały usiadł na krzesełku; wsparł głowę o poręcz i zwrócił twarz ku niebu.

„Ach, gdyby tak piorun zakończył moje życie! — jeden, jedyny piorun, — a zjawiłbym się w progach nieba — z wolną duszą!“

Zagrzmiało, — błyskawice przecięły niebo krwawą wstęgą, lecz piorun uderzył w fale Warty, które zadrżały jak niewinne łono kobiety pod pierwszem dotknięciem ukochanego mężczyzny.

— — — — — — —



Pogrzeb zamordowanego posła hiszpańskiego Salvo Sotelo. Towarzysze niosą trumnę ze zwłokami na swoich barkach.

Lola zeszła tymczasem na dół. Stała przed drzwiami, prowadzącemi do myśliwskiego pokoju.

Zatrzymała się tutaj na chwilę i przybrała zimny, obojętny wyraz twarzy.

Zdarzyło się już kilka razy, że oświadczyła turystom prosto w oczy, że ich obecność jest zbyteczną na zamku. — Ach, ci turyści byli w lecie istną plagą. W podręcznikach podróżnych wymieniono ten zamek jako widzenia godny zabytek i zwłaszcza Anglicy nie chcieli nigdy dobrowolnie ustąpić. Nie chcieli temu wierzyć, że właściciel zabronił obcym wstępu do zamku. Prawdopodobnie i teraz rozchodziło się o córę Albionu.

Lola otworzyła drzwi i zobaczyła na środku pokoju, ozdobionego rogami i bronią, wysoką damę, której twarz była zakryta szarym welonem.

„Hrabina Zamska, czem mogę służyć?“ zawołała Lola i zbliżyła się wolno do nieznajomej.

Nieznajoma milczała, — stała jak posąg. Przez gęstą zasłonę nie było widać jej rysów.

„Nie słyszała pani? Powtarzam więc jeszcze raz: jestem hrabina Anielcia Zamska.“

Ironiczny uśmiech rozległ się w pokoju.

„Zamska!“ zawołał obcy głos, a na jego dźwięk zatoczyła się Lola, jakby pod jej stopami otwarła się nagle przepaść, — Anielcia, — haha, — pojmuję, zdemaskowałam cię wreszcie, podła awanturnico!“

Zasłona spadła, — przed Lolą stała jej matka Arabella.

W pierwszej sekundzie chciała Lola wybiec z pokoju; zatrzymała się jednak na progu. Poznała całe niebezpieczeństwo, a wewnętrzny głos mówił wyraźnie, że ucieczka nie jest stosowną drogą.

„Matko!“ zawołała Lola złamanym głosem, „matko, to ty?“

„Patrzcie“, odparła Arabella, „nazywasz mię matką? Myślałam, żeś już dawno zapomniała o mnie! Lecz naturalnie spodziewasz się, że wzruszysz w ten sposób mojem sercem. Mylisz się grubo! — Przyszłam celem wyrównania naszych obrachunków i uporządkowania pewnych spraw, zanim opuszczę ten świat.“

Przelotne spojrzenie, rzucone na twarz Arabelli, przekonywało o prawdzie tych słów. Boże, jak się ta kobieta zmieniła!

Straszna choroba nurtowała widocznie w jej organizmie, — tajemnicze cierpienie wstrząsnęło jej zdrowiem. Znikła owa pełna postać, która niegdyś nadawała jej tyle wdzięku! Z zapadniętej twarzy wystawały kości. W oczach odbijała się cała boleść i moralna troska; te ciemne oczy świeciły gorączkowym ogniem.

„Matko, tyś chora!“ zawołała Lola i zbliżyła się do Arabelli. „Boże, jak mię to boli!“

„Podła istoto!“ odparła Arabella i wzniosła do góry ręce, jakby obawiała się zdrady ze strony swojej córki. „Nie okłamiesz mnie tego rodzaju zapewnieniem. Wiem dobrze, co myślisz w głębi duszy. Cieszyłabyś się, gdybym padła trupem! Przynajmniej nie bałabyś się wtedy twojej matki. — Tak, jestem chora, — grzechy młodości mszczą się okrutnie! Lekarze zrobili mi nadzieję najwyżej na kilka miesięcy życia. Za ich poradą wyjechałam nad Wartę. Początkowo gniewałam się na tych doktorów, bo ta, czy owa wieś i tak mi nic nie pomoże. — Lecz teraz błogosławię radę mojego lekarza. Widocznie Opatrzność zaprowadziła mię tutaj.



Na dalekiej północy, w kraju wiecznych śniegów i lodów, wzeszło obecnie słońce i nastał dla tamtejszych ludów, biały dzień. Korzystają z tego miłośnicy podróży i uczeni całej Europy i przybywają pod biegun w poszukiwaniu przygód lub w celach naukowych.

„Widzisz, — wczoraj jadąc parowcem zobaczyłam na balkonie młodego mężczyznę, a obok niego uroczą kobietę. Przyłożyłam do oczu lornetkę, chcąc przypatrzeć się lepiej tej szczęśliwej, zakochanej parze, gdy w tem — jaka niespodzianka!

„Pasażerowie wzięli mię prawdopodobnie za warjatkę, gdyż lornetka wypadła mi z ręki. Krzyknęłam, zatoczyłam się, zbladłam, poznałam bowiem Kazimierza Zamskiego, — a przy nim stałaś ty, — moja córka, — nieprzyjaciółka mojego życia!“

„Matko, błagam cię, nie nazywaj mię tak“, zawołała Lola, „i mów ciszej.“

„Ciszej? Zobaczymy. — Teraz możemy mówić cicho, dopóki nie porozumiemy się w naszych osobistych sprawach. Na następnej stacji opuściłam okręt i zapytałam o właściciela zamku. Powiedziano mi, że ten zamek należy do hrabiego Kazimierza Zamskiego, który niedawno temu ożenił się z piękną kobietą. Podobno stracił wzrok. Tak, naturalnie. Inaczej nie zatrzymałby cię przy sobie. Później powiedział mi ktoś, że jego żona jest z domu hrabianką Anielcią Sokolską. Tak, — teraz wiedziałam, że Kazimierz padł ofiarą strasznego oszustwa. Twoje ręce uknuły tę intrygę.“

„Ona wie wszystko; jestem zgubiona!“ zawołała Lola.

„Tak jest!“ odparła Arabella. „Jednem słowem mogę zburzyć całą twoją egzystencję. Jeżeli wyjawię prawdę twojemu mężowi, to nie pozostaniesz ani godziny w tym zamku.“

„Dlaczego nie czynisz tego?“ wtrąciła Lola; „nie spodziewam się od ciebie łaski ani litości!“

„Kto ci to powiedział?“ zawołała ostro Arabella, — „może się mylisz! Właściwie zasługujesz na to, bym cię zdemaskowała przed Kazimierzem! Lecz ten biedny człowiek ociemniał! Nie mogę przecież powiększać jego cierpień i trosk! Widzisz, podła kobieto, pokażę ci jak powinna wyglądać miłość kobiety. Rezygnuję jednak z mojego szczęścia, — ze zemsty i to tylko ze względu na moje życie.“

Lola westchnęła jakby jej spadł kamień z piersi.

„Matko!“ zawołała drżącym głosem, „matko, możesz mi przebaczyć? Zostawisz mię przy boku Kazimierza? — Nie zniszczysz tego szczęścia, zdobytego szną zbrodnią? O matko, jeżeli tak postąpisz, to —“

„Nie ciesz się przedwcześnie!“ przerwała ostro Arabella, „nie jestem wspaniałomyślną i żądam ci pokutę. Oszustwo i ta wstrętna komedja z Kazimierzem, musi się natychmiast skończyć.“

„Słyszę“, odparła głucho Lola i pochyliła głowę na piersi jak skazaniec, idący na rusztowanie.

„Nie zdemaskuję cię przed twoim mężem. Lecz za to opuścisz go dobrowolnie.“

„Opuścić? Niemożebne! To by się równało mojej śmierci.“

„Moja córko, wszystko można przecierpieć!“ odparła ironicznie Arabella, „więcej zniosłam! Zresztą później zobaczysz go znowu. Zostaw list i powiedz, że pewna wiadomość — o powód nie będzie ci trudno — spowodowała twój nagły wyjazd. Napisz, że jedziesz na zamek Sokolskiego, ponieważ Elżutka Rodeń niebezpiecznie za-

chorowała i prosi cię o pomoc. Może uwierzy."

„Jak długo będzie trwało to rozłączenie?" zapytała nieśmiało Lola.

„Do mojej śmierci. Rozkazuję ci wyjechać ze mną! Musisz patrzyć na moją śmierć, byś poznała całą okropność zniszczenia! Zobaczysz konanie kobiety, którą niegdyś uwielbiał rój mężczyzn. Wreszcie spełnisz obowiązek córki i będziesz pielęgnować twoją matkę aż do samego zgonu."

„Matko", zawołała Lola drżącym głosem, a w jej oczach błysnął promyk nadziei, „zostań tutaj, jeżeli się rozchodzi tylko o mój obowiązek! — Przysięgam ci, że na niczem nie będzie ci zbywać w tym zamku. Będę ciągle przy tobie i nie rozłączę się z Kazimierzem!"

„Dziękuję ci za radę", odparła Arabella, „nie czuję najmniejszej ochoty do powiększenia moich cierpień. Jesteś rzeczywiście tak naiwną i myślisz, że zamieszkam z tobą pod jednym dachem i będę spoglądać na twoje szczęście z Kazimierzem? Nie, nie chcę stracić zmysłów! Dzisiaj w nocy opuścimy ten zamek!"

„Dzisiaj w nocy?" powtórzyła Lola złamanym głosem, „jest to twoją niezłomną wolą?"

„Tak jest! Dzisiaj w nocy oczekuję cię po drugiej stronie na skale Lorelei. Tam się spotkamy! Zabierz tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Następnie udamy się do najbliższej stacji kolejowej, — kupimy bilety i opuścimy tę okolicę! — Dlaczego się tak zamyśliłaś?"

Lola milczała. Stała nieruchomo jak zimny posąg i zasłoniła dłonią oczy.

„Więc dzisiaj, o północy, — na skale Lorelei?" zapytała, „zastanę cię, droga matko?"

„Tak jest! Bądź punktualną i opuść pokryjomu zamek. Jeżeli nie przyjdziesz, to Kazimierz będzie jutro wiedział całą prawdę. Nawet gdybyś go otoczyła potrójnym murem, — to znajdę drogę i powiem mu wszystko! Więc nie zapomnij i przyjdź na oznaczone miejsce!"

„Przyjdę, matko, — przyjdę!" zawołała Lola. „Teraz pojmuję, jak ciężko zgrzeszyłam względem ciebie. Należy mi się pokuta. Dziękuję ci za wzgląd na moje położenie i przysięgam: opuszczę Kazimierza, dopóki anioł śmierci nie zawrze twoich powiek! — Więc o północy na skale Lorelei! Przyjdę, — matko, — przyjdę!"

„Tem lepiej dla ciebie", odparła zimno Arabella i spuściła szary welon na wychudłą, schorowaną twarz, „może tylko przez krótki czas nie będziesz widzieć Kazimierza, czuję bowiem bliską śmierć. — Ach, życie bez młodości nie ma żadnego uroku! — Koniec młodości jest wolnem przejściem do grobu. Jedyną radością dla nas jest tylko ta świadomość, że wy młodzi używający życia, wejdziecie kiedyś na tę samą drogę, prowadzącą do zniszczenia i — nicości!"

Arabella, nie czekając na odpowiedź Loli, wybiegła szybko z pokoju. W pół minuty później zamknęła się za nią ciężka brama zamkowa. Po chwili wyszła na taras, z którego prowadziła wązka droga ku szumiącej rzece.




Zdjęcie nasze przedstawia trzy australijskie pływaczki w rozmowie z niemieckim mistrzem, w skoku z trampoliny.

Lola stała ciągle na tem samem miejscu. W jej bladej twarzy odzwierciadlała się cała wewnętrzna burza a pierś wznosiła się niespokojnie, jak te wzburzone ulewą fale Warty.

„Dzisiaj w nocy na skale Lorelei!" wymówiły blade wargi Loli, „tak, — przyjdę! Gdy przestaniesz żyć, wrócę do Kazimierza. Ha, ha, — prawdopodobnie nie długo to potrwa! O północy spotkamy się na skale; w godzinę później będę znowu w ramionach mojego ukochanego męża, a ty w nurtach Warty!"

Straszny grzmot towarzyszył tym słowom, które wymówiła zepsuta, ludzka dusza. Oślepiający, żółtawo-krwawy błysk oświecił małą komnatę i nieludzką córkę. Stary zamek zadrżał w swoich posadach, jakby się bał tych słów, które przed chwilą obiły się o jego średniowieczne mury.

## CLXIII.

## Północ na skale Lorelei

Lola i Kazimierz nie mówili nic do siebie przy kolacji. Każdy był zajęty własnemi myślami i planami.

Młody, ociemniały hrabia nie tknął prawie jedzenia. Siedział nieruchomo i od czasu do czasu brał za widelec i zjadał kawałek mięsa. Za to pił więcej wina, aniżeli zwykle. Kazał przynieść Alfonsowi butelkę starego wina, które pamiętało jeszcze czasy jego dziadka.

To wino, — Kazimierz wiedział o tem, było zupełnie gęste i posiadało wyśmienity smak i zapach. Kto nie był przyzwyczajony do dobrego wina, wystarczyła jedna flaszka do zmiany najgorszego humoru na różowe nadzieje.

Kazimierz chciał rozpocząć drugą butelkę. Spijał lampkę za lampką, jakby pragnął dodać sobie animuszu. Krew krążyła mu raźniej w żyłach, serce biło przyspieszonem tętnem, — a w głowie szumiał chaos myśli. — Kazimierz pił ciągle.

Lola patrzyła obojętnie. W innej porze nie pozwoliłaby Kazimierzowi na nadmierny użytek wina. Może zdziwiłoby ją, że młody hrabia, zwykle tak wstrzemięźliwy, nagle pije tyle wina. Dzisiaj życzyłaby nawet sobie, żeby wino przemogło Kazimierza. Oszołomiony, zaśnie prędzej i obudzi się dopiero jutro rano.

Lola musiała wyjść o północy. Zmuszało ją do tego spotkanie z Arabellą na skale Lorelei. Dlatego głęboki sen Kazimierza ułatwi jej wyjście ze zamku.

Lola namawiała go do picia i dolewała mu ciągle pod różnymi pozorami.

„Pijmy na naszą miłość!" zawołała, wznosząc kielich, „ukochany mężu, pij, moje zdrowie!"

Lola dotknęła ustami kielicha i podała go Kazimierzowi, który musiał pić z tego miejsca, na którem spoczęły jej wargi.

„Na naszą miłość!" zawołał Kazimierz i wychylił kielich do dna.

„Teraz pij na nasze szczęście!" zawołała Lola i napełniła znowu kielich winem.

„Niech żyje", odparł Kazimierz z gorzkim uśmiechem, „piję na szczęście ociemniałego człowieka."

Przyłożył czarę do ust i szepnął cicho:

„Piję na cześć śmierci!..."

„Całuj mię, ukochana!" rzekł Kazimierz drżącym głosem, wyciągając ku niej swoje ramiona, „chodź, Anielciu, usiądź na mojem kolanie, — niechaj owionie mię twój słodki oddech, — a twoje łono spocznie na mojej piersi! Daj mi całusa! — Oh, podaj mi twoje słodkie wargi, tęsknię bowiem za tą niebiańską rozkoszą!"

Lola zarzuciła na szyję ukochanego mężczyzny śnieżne ramiona i całowała go z coraz większą namiętnością.

(Ciąg dalszy na stronie 539.

# Kraina szczerości i naszych trosk

**Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu**

## ODPOWIEDZI NIE MOGŁAM DAĆ PRĘDZEJ

*„Kochanie"*. Tak! — miłe, złote „Kochanie"! Inaczej nie można by Pani nazwać..."

Odpowiedzi, pomimo najszczerszych chęci, nie mogłam Pani dać prędzej, a to z powodu wielkiego nawału korespondencyjnego. Radabym moim Sympatykom nieba przychylić, ale wyróżniać nie chciałabym nikogo. Wszyscy są u mnie na równych prawach i dzięki też temu, nie otrzymała Pani prędzej odpowiedzi. Sądzę, że o to nie będzie Pani żywiła do mnie żalu?

Sercowa sprawa Pani zainteresowała mnie nawet bardzo. Może dlatego, że jest owiana tajemnicą i smutkiem, który się wyczuwa nawet w pierwszych, krótkich zwierzeniach Pani. Proszę, niech mnie Pani obdarzy zaufaniem i napisze obszernie o wszystkiem.

Łączę miłe pozdrowienia i nie zapominam oddać do przedruku dopisku z Pani listu:

„Hallo! „Rom-Mar" — „Kochanie" się zgłasza! Bardzo podobają mi się Twoje wiersze. Dlaczego nie ma ich więcej! Proszę coś do mnie napisać! Czekam! Ja nie napiszę pierwsza w żadnym razie, proszę mi wierzyć!

„Lawrence" — podobają mi się zapatrywania Pana. Czy mogę czekać na jakiś odzew?

„Leśny Bożku" dlaczego milczysz? Zbudź się! Przyjm moc pozdrowień.

Chłopcy! który z Was napisze do bardzo wesołej dziewczynki o dużych, zielonych oczach i kasztanowych lokach, imieniem „Kochanie"? Odpowiedź będzie szybka, pamiętajcie!"

## MIŁOŚĆ

Miłość jest słońcem, — jej cudowne moce
Ożywią wszystko i przenikną wszędzie,
Ona jak gwiazda w ciemnościach migoce,
Ma urok prawdy i żyje w legendzie.

Jedwabną nicią serce ci owinie,
I do ust poda puhar szczerozłoty;
Lecz umie także odejść w złej godzinie,
Zostawić bezmiar pustki i tęsknoty...

*M. v. W. Sendlerowa.*

## NAPISZ SZCZERZE!

*„Mała Konwalijka"*. Nareszcie! „Mała Konwalijka" przesłała mi jakiś znak od siebie! Jesteś obecnie w Orłowie, ale wkrótce już stamtąd wracasz. Cóż będzie dalej, Kochanie? Czy zostaniesz w domu, czy pójdziesz znowu w świat? Czy będę mogła Ci w czemś dopomóc? Napisz szczerze!

Wraz z szybką odpowiedzią przesyłam Ci, Maleńka, wiele dobrych życzeń na przyszłość. Wierzę, że Bóg nie zapomni o Tobie. Zasługujesz w pełni na szczęście, więc napewno Cię ono nie ominie.

Dopisek z listu zamieszczam:

„Czarnuli" dziękuję za „Kochańcia", którego nad życie uwielbiam i z którym się nie rozstaję. „Dziewczynka z lokami" bardzo miła i tak ślicznie opisała mi swoje wycieczki do Powidza. „Konwalję" serdecznie pozdrawiam i jak najmocniej przepraszam, że wtenczas nie napisałam, ale byłam bardzo zajęta. List wysłany. „Marutę" pozdrawiam i ogromnie jestem szczęśliwa, że zobaczymy się za trzy dni.

Oprócz tego pozdrawiam „Carmenitę", „Skowronka z nad polskiej niwy", p. Janinę Ustupską z M., „Dziewczę z Kujaw", „Duśkę" i „Tamarę".

Hallo! „Lawrence"! Prawda, że cudnie jest podróżować i tak spędzać wakacje. Zazdroszczę Ci, „angliku"! Przesyłam — moc dobrych uśmiechów".

## KTO WIE?

*„Lutek"* nadesłał do „Krainy" bardzo miły list. Niewątpliwie będzie się podobał wszystkim Panienkom, a kto wie, czy nie podbije i czyjegoś serduszka swojem poetycznem nastawieniem.

„Droga Pani Zosiu i Szanowny Wujku Januszu! Chciałbym Was tak naprawdę serdecznie ucałować, za ten przemiły kącik — „Kraina szczerości i naszych trosk".

Zawszem bywał smutny.... w tęsknej, samotnej zadumie płynęły dni szarego codziennego życia mego. Żadne bratnie serduszko, żadna kochająca duszyczka nie znała mnie w oddaleniu dziś czuję się złączonym węzłem jednej rodziny. Czuję dziś te ciepłe bijące serduszka młodych dziewczątek marzących o swem przyszłem życiu, czuję i widzę te przemiłe twarzyczki pełne życia, delikatne jak płateczki róży, gdy wychylą się z delikatnych osłonek. Chciałbym uścisnąć wszystkie te serduszka, ażeby wiedziały, że jest w „Krainie" ktoś, który tęskni za niemi, ażeby wiedziały, że ten ktoś je kocha do szaleństwa.

„Maleńkiej Dzidzi" zasyłam całusa w kwiatku niezapominajki, „Eli" na pocieszenie całusa w kwiatku majowej — konwalji".

## CZY PANI WIERZY?

*„Jasieńka"*. Wyobraża mnie Pani sobie bardzo idealnie, porównuje do anioła i ubiera w laury, podczas, gdy jestem takim samym człowiekiem „z krwi i kości", jak i inni. Czy Pani wierzy?

Adresy Polaków z Legji Cudzoziemskiej podam Pani w jednym z następnych numerów. Dopisek zamieszczam:

„Przesyłam pozdrowienia dla „Kazika" i „Samotnego agronoma". Może któryś z wymienionych Panów napisze do mnie?

Z „Jasnem Słoneczkiem" pragnęłabym nawiązać korespondencję, czy zgoda?"

Na zakończenie przesyłam Ci, „Jasieńko", miły uśmiech. Pomyśl znowu kiedyś o mnie i napisz. Bardzo proszę!

## CZY PLANY ZREALIZOWAŁY SIĘ?

*„Leśna Rusałka"*. Pomysł był cudowny! Na jednym arkusiku znalazłam wiadomości i pozdrowienia od dwóch sympatycznych osobek. Dziękuję i za pierwsze i za drugie!

Mam wrażenie, że plany Pani zrealizowały się i obecnie siedzi już Pani „zakopana gdzieś na wsi, zdala od szarych, miejskich murów". Czy „Lilla Weneda" była u Pani? Ciekawa jestem o czem Panie najwięcej rozmawiały i czy rozmowa Pań potrąciła także o „Krainę"?

Za uśmiechy, takie radosne i wiośniane — dziękuję osobno i czekam niecierpliwie na nowe.

## O TAKĄ NAGRODĘ WARTO SIĘ POKUSIĆ...

*„Stęskniona Ukrainka"*. Pomimo, że ujęła mnie Pani swojem serdecznym liścikiem i dużo chciałabym dla Pani zrobić, to jednak „gorącej prośby" Pani spełnić nie mogę. Wierszyk jest bardzo słaby. Prócz rymu i wyrażonych uczuć — nie posiada w sobie nic więcej z poezji. Może dlatego, że to dopiero pierwszy utwór Pani. Zapewnie następne wiersze będą już lepsze. Bardzo miły apel Pani zamieszczam:

„Jestem „Stęsknioną Ukrainką", podobno ładną, lecz niegrzeczną, bo zawsze za czemś tęsknię i tonę w melancholji. Czy wyrwie mnie wreszcie ktoś ze smutku jakimś ciekawym i długim liścikiem? Wzamian dostanie moje... „ukraińskie serduszko". Czekam więc! Zasyłam ukłony „Wesołej Andziulce", por. Stasiowi z Torunia, „Geni" i p. Edwardowi Makowskiemu".

## „CHYBA NIE ZROBISZ MI ZAWODU"?

*„Bursztynowe serduszko"*. Przesyłam Pani serdeczne pozdrowienia i życzę jak najwięcej przyjemności podczas lata. Pięknie tam jest teraz u Pani, prawda? Chyba wszystkie smutki i żale poszły w kąt? Jeżeli nie, niech je Pani coprędzej odłoży i w pełni korzysta z słońca, morskich kąpieli i plaży. Czy posłucha mnie Pani?

Nie zapominam także zamieścić dopisku z listu Pani:

„Elżuniu z Torunia!" Chyba nie zrobisz mi zawodu i na moje szczere słowa dasz odpowiedź? O to bardzo Cię prosi ktoś, co ma dla Ciebie dużo serca".

## WSZYSTKO ZACZYNA SIĘ NA „P"

*„Inota 1001"*. Z głębi serca dziękuję za szczere i dobre życzenia. Nadesłany rękopis umieszczam. Zadała sobie Pani dużo trudu, by ułożyć tę oryginalną historyjkę. Ciekawa jestem, czy zainteresuje ona sympatyków „Krainy" i czy znajdzie się ktoś o podobnej fantazji, co Pani i napisze również coś w tym rodzaju.

Pan Paweł Pieszyński powracał po pracy po południu porządnie przemęczony. Przestępując próg pokoju przystanął prawie przestraszony, po pokoju przechadzała, prowadząc pogawędkę połowica pana Pawła, pani Pelagja. Przy powitaniu pani Pieszyńska przedstawiła panu Pawłowi, państwo Pogorzelskich pokrewnych po piętnastu pokoleniach, potem pocichu panu Pawłowi powiedziała; „przed południem przyjechali paryskim pociągiem". Po podwieczorku przeszło państwo po parku. Po powrocie pani Pelagja poczęstowała panią Pogorzelską pomarańczami, pan Paweł pana Pogorzelskiego papierosami „Płaskiemi", poczem począł powiadać przeróżne powieści podróżne przeplatane przygodami. Pan Paweł pokrewny pana Pogorzelskiego podróżował: piechotą, pociągami, parowcami, powietrzem po przeróżnych państwach. Przedewszystkiem płynął parostatkiem po przeolbrzymich przestrzeniach Pacyfiku, pozwiedzał: Portugalję, Persję, Parane, Peru. podziwiał piękną panoramę portu portugalskiego Porto. Przecież — powiada — przeróżne państwa przewyższa pięknością Polska.

Po północy państwo Pogorzelscy, po pięknych pieszczotliwych pożegnaniach pojechali precz.

## BARDZO CHĘTNIE, ALE...

*„Łobuz z pod ciemnej gwiazdy"*. Dzisiaj odpowiadam Pani na list, w którym rozpisuje się Pani tak miło o zawodach sportowych i prosi o uściśnienie paluszków na szczęście. Bardzo chętnie, Miła Dziewczynko, ale... zapóźno już! Może następnym razem? Pozdrawiam jak najserdeczniej i czekam na okazję, w której będę mogła wypełnić przyrzeczenie.

## DZIĘKUJĘ ZA SERCE

*„Marysia"*. Przesyłam Pani serdeczny uścisk dłoni i dziękuję za wszystkie dobre słowa. Ujęły mnie bardzo, jak zresztą zawsze ujmują mnie listy, pełne życzliwości i serca. W „Moich Powieściach" dziękuję Pani za serce, a w „Mojej Przyjaciółce" podam Pani odpowiedź na resztę listu.

## WYSŁAŁAM

*„Samotny Tulipan"*. Za życzenia, chociaż może nieco późno, dziękuję Panu jak najserdeczniej. List, zgodnie z życzeniem, wysłałam.

## „MALEŃKI CZUPIGRAŁA“ ZAPEWNIE SIĘ UCIESZY?

*„Nora — Pomorzanka“.* Ciekawa jestem, czy otrzymała już Pani odpowiedź z Francji i czy rzeczywiście Nieznany okazał się człowiekiem ciekawym i interesującym. Pragnęłabym aby tak było, gdyż wówczas byłaby Pani zadowoloną.

„Zamęczam Panią prośbami“... Nie, „Noro“, nie zamęcza mnie Pani. Ilekroć mogę zrobić komuś przysługę — cieszę się ogromnie, a zwłaszcza jeżeli chodzi o Sympatyków „Krainy“. Po tem zapewnieniu, chyba już Pani nie będzie miała żadnych skrupułów, prosząc mnie o coś, prawda?

„Maleńki Czupigrała“ niewątpliwie bardzo się ucieszy, gdy dowie się, że wyczuwa w nim Pani bratnią duszę. Ucieszy się i zapewnie napisze do Pani?

## O WDZIĘCZNOŚCI

*„Samotny Agronom“.* Wdzięczność, to bardzo względna rzecz, Drogi Panie. Nie potrzebuje być ona ani wielką, ani zbyt wylewną, wystarczy aby była ujmującą. Do tego zaś przyczynia się niejednokrotnie nawet maleńki odruch serca, okazanie pamięci lub serdeczne zainteresowanie. Chyba mi Pan przyzna, że tak jest, a nie inaczej? I nie będzie Pan się dłużej biedził nad okazaniem mi wdzięczności? Bo nie warto się przecież biedzić i zastanawiać nad tem, co jest bardzo proste...

## NIE OMYLIŁA SIĘ PANI

*„Milutka Krzysia“.* Nie omyliła się Pani — istotnie, posiadam takie nazwisko.

Jestem bardzo zadowolona, że za mojem pośrednictwem, udało się Pani nawiązać miłą i interesującą korespondencję. Czy może mi Pani zdradzić na jakie tematy lubi Pani najwięcej korespondować? Łączę wiele serdecznych pozdrowień.

Dopisek z listu „Milutkiej Krzysi“:

„Przesyłam pozdrowienia p. Frankowi K z Up. Sępólno. Franku, czy domyślasz się kto Cię pozdrawia? Przypomnij sobie Bydgoszcz i prześlij mi przez „Krainę“ jakiś znak.

„Edward VIII“ jeżeli ma ochotę nawiązać ze mną korespondencję, niech napisze do mnie pierwszy, a chętnie odpowiem.

Na zakończenie pozdrawiam serdecznie „Pensjonareczkę“.

## MOJE ZDANIE JEST INNE

*„Lilka“.* Jesteś zbyt skromną, „Lilko“, twierdząc, że piszesz nudnie i nieciekawie. Moje zdanie jest inne. Piszesz nietylko ciekawie, ale szczerze i miło, a to dużo znaczy. Co słychać obecnie u Pani? Czy Bydgoszcz jeszcze aktualna? Czekam na nowe wiadomości od Pani.

Kończąc, pozdrawiam w imieniu Pani „Leśną Rusałkę“ — „Gwidona“ — „Smutnego Esperantystę“ i „Fidelis“.

## WYPOŻYCZENIE KSIĄŻKI

*„Ryśka D.“* bardzo chętnie wypożyczy „Duśce“ książkę, pod tytułem: „Krwawa pani na Czachczycach“. Prosi o nadesłanie adresu.

## „BĘDĘ BARDZO SZCZĘŚLIWY“...

*„Smutny Stef“.* Kto zainteresuje się „Smutnym Stefem“ i prześle Mu parę miłych słów w odpowiedzi na poniższy list:

„Od początku abonowania „Moich Powieści“ interesowałem się bardzo „Krainą“. Wreszcie postanowiłem i ja do niej wstąpić. Spodziewam się, że znajdę wśród tylu serc, jedno, które obdarzy mnie zaufaniem i sympatją.

A teraz coś o sobie! — Jestem rodowitym Bydgoszczaninem, średniego wzrostu, ciemnoblondynem. Interesuje się wszystkiem, a szczególnie „Mojemi Powieściami“, których oczekuję co tydzień z wielką niecierpliwością. Czuję się bardzo osamotnionym i ogromnie odczuwam brak bratniej duszy. Będę niezwykle szczęśliwy, gdy otrzymam od kogoś miły list“.

## WŚRÓD POKOSÓW

Chmury się stają z każdą chwilą bledsze,
A zmierzch wokoło wszystko srebrem zrosił,
Pełnem zapachów oddycham pówietrzem,
Leżąc na siana wonnego pokosie.

Księżyc wypłynął leniwie zza chmury,
Na wioskę światłem chlusnął jak pożogą,
I kapie srebrem poprzez liście z góry,
Gdy się zatrzyma w jaworach nad drogą.

A kiedy minie już przydrożne drzewa,
Na płatkach kwiatów ogniki zapala,
Albo kielichy ich miodem nalewa
I aureolą jasną je okala.

Potem się cicho w jeziorze położy...
— Czasem swawolnie znów z falami pląsa,
Po chwili sunie dalej wśród bezdroży...
Gdzie tylko przejdzie — srebro z drzew otrząsa.

Po nieba łące w dal błękitną płynie,
I sierpem gwiazdy kosi jako trawy,
Kiedy noc sierpem świecąca przeminie,
Zginie gdzieś księżyc w pokosach złotawych...

Jadźka z Kujaw.

## ZAŚWIECIŁO NAM ZNOWU „SŁONECZKO“

*„Słoneczko“.* W „Krainie“ tak mało naogół radości i słońca, to też cieszymy się wszyscy, że po dwóch latach rozłąki, wróciło znowu do nas dobre „słoneczko“ i pięknie nam zaświeciło. Chyba już teraz tak szybko od nas nie odejdzie?

„Przeczytajmy sobie wszyscy liścik „Słoneczka“:

„Droga Pani Zofjo! Dwa długie lata minęły od chwili, gdy zostałam przyjęta do Twojej „Rodzinki“, jestem córką marnotrawną, wiem o tem, lecz wierzę, że przebaczysz mi wszystko. Postaram się często pisywać do Ciebie. Za umieszczenie mego wierszyka, „Wiosenka“, zasyłam serdeczne podziękowanie. Chętnie chciałabym korespondować znów z jakąś miłą Czytelniczką „M. P.“. Zaciekawił mnie pseudonim „Słonko“ i dlatego zasyłam dla „Słonka“ moc pozdrowień. Również prosiłabym „Stefka“ z Gdyni o kilka miłych słów. Znam Gdynię bardzo dobrze, gdyż spędziłam nad morzem kiedyś urlop. A może Pana znam także?

Kilka słów o sobie: przez długi okres czasu byłam bez posady, teraz znów uzyskałam zajęcie w budowlanej firmie w charakterze kancelistki i czuję się bardzo szczęśliwa, że mogę znów pracować. „Życie jest piękne, a tylko od nas zależy, aby było dobrze“. Te słowa, któremi zakończyłaś pierwszą odpowiedź na mój list, tak się wbiły w moją pamięć, że kieruje się teraz tem zdaniem w życiu. Uśmiecham się, gdy mi źle i smutno i ze śmiechem witam jutrzenkę radości i szczęścia.

„Kończąc zasyłam dla całej „Rodzinki“ moc szczerych pozdrowień.“

## ADRES

*„Tajemnicza Brunetka“* ma w redakcji list. Proszę o podanie adresu.

## POZDROWIENIA

*„Dziewczę z krainy burzu“.* Liczę już dni do upragnionego terminu wyjazdu. Chwilami wierzyć mi się nie chce, że to już... Moc miłych pozdrowień i — do widzenia!

## CZY OTRZYMAM?

*„Lili“ i „Lidka“.* Adres i kilka bardzo miłych słów — odebrałam. Dziękuję! Czy otrzymam dłuższy liścik?

## ŻAŁUJĘ!

*„Pepi w mundurku“.* „Niespodzianka“ Pana wprawiła mnie w doskonały humor. Żałuję, że nie odwiedził Pan i naszej redakcji. Okazja była wspaniała — zapewnie druga tak prędko się nie zdarzy? List pchnęłam dalej i spodziewam się wkrótce od Pana nowego listu.

## WIERSZYK ODŁOŻYŁAM DO TECZKI

*„Płacząca Brzoza“.* Wierszyk miły. Odłożyłam go do teczki, gdzie będzie zmuszony poczekać do nowej wiosny.

Nadesłane wiadomości — ucieszyły mnie. Tak samo fotografja. Umieściłam ją w albumie. Czekam z niecierpliwością na zawiadomienie o ślubie.

„Wierszokleta“ i „Smutna Różyczka“ — do „Krainy“ jeszcze należą.

## DZIĘKUJĘ ZA POZDROWIENIA Z POZNANIA

*„Wesoła Irutka“.* Dziękuję za miłe pozdrowienia z Poznania. Czy długo tam zamierza Pani bawić?

## „HALLO!“

*„Spragnione serce“* przesyła kilka słów Sympatyczkom „Krainy“:

„Hallo! „Elżuniu z Tczewa“. List wysłałem, pod podanym adresem. Czy odebrałeś? Dziękuję serdecznie za pamięć i proszę o dalsze dobre i szczere liściki.

„Kalito z Powidza“! Miej trochę cierpliwości! Wkrótce list otrzymasz. Łączę miłe pozdrowienia.

„Czarnobrewa Igo“! Owszem, możemy pogawędzić na różne tematy. Moc pozdrowień!“

## NIE SPRAWIŁA MI PANI TRUDNOŚCI

*„Gladjola“.* Prośbą swoją nie sprawiła mi Pani żadnej trudności, niepotrzebnie się Pani obawiała. Dziękuję za serdeczne uściski i pozdrawiam!

## *Teczka Wujka Janusza*

## NA PISANIE POEZJI JESZCZE CZAS!

*„Piotruś“.* Drogi „Piotrusiu“! jesteś jeszcze za młody do pisania poematów. W Twoim wieku młodzieńcy uczą się jeszcze pisać „rzyto“ przez „ż“ i „kruwka“ przez ó zamknięte. Ty powinieneś także się tego nauczyć! Poetyczne wzloty i hymny na cześć słońca — zostaw na później, a na razie ucz się, Chłopcze, — ucz! Przyjm odemnie tę życzliwą radę i nie miej żalu do niepoczciwego zrzędy — wujka Janusza. I napisz znowu do mnie kiedyś, mój młody Przyjacielu!

## W GRĘ WCHODZI PLAGJAT

*„Złote Jabłko“.* W wiadomej Panu sprawie wchodzi w grę plagjat. W tych dniach wystosowałem do B. R. odpowiedni list, po którym, mam wrażenie, odechce się p. R. raz na zawsze podpisywania obcych utworów własnem nazwiskiem. Panu, dziękuję jak najuprzejmiej za pomoc w zdemaskowaniu nieszlachetnego autora i ściskam Panu na pożegnanie dłoń.

## ODEBRAŁEM

*„Blanka“.* Pocztówkę z Krakowa — odebrałem. Dziękuję! Czekam z utęsknieniem na dzień, w którym mi p. „Blanka“ opisze swoje ciekawe wrażenia z podróży. Dziękuję również za pozdrowienia w imieniu p. Zofji.

## „SZKODA CZASU I ATŁASU...

*„Wiktorja“.* Pseudonim Pani głosi zwycięstwo, ale pomimo to poniosła Pani porażkę na całej linji. Ani nowelki, ani wierszyki, nie przedstawiają żadnych wartości literackich. Nie radziłbym Pani pisać dalej — „szkoda czasu, i atłasu“. To wszystko, co mogę Pani powiedzieć!

Za bardzo miłe pozdrowienia — dziękuję Pani jak najserdeczniej. Przyjaźń naszą akceptuję i czekam na list, ale... bez wierszyków.

# Raj kobiet

## Sukienki na wieś




Di. 93 905. Sukienka z materjału w kratkę obszyta jednokolorowemi pliskami u dołu i przy dekolcie. Do kompletu należy biały fartuszek i płócienne bolerko.

Di 93 906. Piękna sukienka z wzorzystego muślinku, obszyta wąskiemi, jedwabnemi pliseczkami. Fartuszek jedwabny, wiązany z przodu.

Di. 93 922. Komplecik dla małej dziewczynki: kabacik z flanelki w kratkę. Kołnierz stojący i kieszonki w kształcie serduszek.

Di. 93 924. Sukienka z kretoniku i biały, płócienny fartuszek.

Di. 93 904. Bardzo ładna sukienka z czerwonego deseniowego muślinu. Ubierają ją jedwabne pliski. Wąski, biały kołnierz z batystu i fartuszek obszyty koronką.

## Modne perfumy

Często spotykamy się z usiłowaniem ukrywania objawów nieprzyjemnego zapachu ciała zapomocą perfum, ale w tym wypadku należy się tego stanowczo wystrzegać. O wiele lepszą drogą jest gruntowne i stałe obmywanie ciała i uczucie najwyższej czystości, ażeby to rzeczywiście przykre zło usunąć.

Odpowiednio jednak i w miarę użyte perfumy są oznaką pewnej kultury ciała i dlatego wydaje się rzeczą zupełnie właściwą poświęcić temu zabiegowi kilka słów. Zrozumiałem życzeniem każdej pani jest chęć, by obok piękna swego osobistego wyglądu roztaczać jeszcze w powietrzu jak gdyby chmurkę miłego zapachu wokół siebie; jednak niektóre panie okazują w tej sprawie tak samo mało zrozumienia jak i w sprawie umiejętnego szminkowania się. Jak pociągającym jest wygląd pani, która w dyskretny i pełen umiaru sposób koryguje swą urodę, a z drugiej strony, jak niemiłe wrażenie robi wygląd zbyt naszminkowanej i w sposób zupełnie nieumiejętny nabielonej twarzy, tak samo niemile odczuwamy zbyt drażniący zapach za silnego naperfumowania się i wtedy działanie perfum zamiast wywołać uczucie przyjemne jest wręcz odwrotnie.

Użycie perfum jest związane nietylko z indywidualnością danej osoby, ale także z miejscem i porą dnia. Nie powinna pani nigdy używać przed poł. równie silnie i intensywnie pachnących perfum, jak do sukni wieczorowej, a jeszcze mniej powinna się perfumować przy sporcie i przy pracy. W tych wypadkach odpowiednią jest woda kolońska lub woda kwiatowa o zapachu werweny lub lawendy. Woda kolońska ma zapach, który w zupełności miesza się z zapachem skóry i oddziaływa zawsze w sposób przyjemny i orzeźwiający. Dziś zapachy fantazyjne są o wiele tańsze niż wspomniane wody kwiatowe mimo to jednak panie zawsze będą przekładały zapachy róż, fiołków i konwalji nad ciężkie i oszałamiające mieszanki fantazyjne.

# Ze świata

## Co mówią cyfry o stanie oświaty powszechnej

Główny Urząd Statystyczny wydał ostatnio „Statystykę szkolnictwa 1934/35 rok". Wymowa cyfr ukazuje w całej pełni rozmiary kryzysu, jaki przeżywa obecnie nasze szkolnictwo powszechne. Przeludnienie klas i stałe obniżanie się poziomu organizacyjnego szkół, spowodowane niedostateczną ilością etatów nauczycielskich oraz budynków szkolnych, grożą całkowitem załamaniem się szkoły powszechnej.

Sytuacja wymaga natychmiastowych środków zaradczych; może je stworzyć jedynie planowa, szeroko zakreślona polityka oświatowa Państwa. Już dłużej nie wolno zwlekać z wydaniem decydującej bitwy zalewającej kraj ciemnocie i powrotnemu analfabetyzmowi.

W roku szkolnym 1932/33 ilość szkół na terenie całego kraju, w których liczba dzieci przewyższała ustalone przez władze szkolne normy, wynosiła 35,7 do 61,2 procentu ogólnej liczby szkół. Pierwsza liczba odnosi się do szkół o jednym nauczycielu, druga — do szkół o sześciu nauczycielach. Cyfry powyższe nasuwają dwa charakterystyczne wnioski: 1. prawie połowa dzieci polskich uczyła się w ciasnych, przeludnionych izbach szkolnych, nieodpowiadających wskutek tego ani warunkom pracy uczenia i nauczyciela, ani wymogom higjeny; 2. wzrost etatów nauczycielskich nie nadążał za przyrostem dzieci w wieku obowiązku szkolnego (im większa ilość nauczycieli w szkole, tem większa ilość dzieci przypada na każdego z nich).

Czy od 1932/33 roku szkolnego sytuacja w szkolnictwie powszechnem polepszyła się? Przeciwnie, cyfry wskazują na dalsze pogłębienie się kryzysu oświaty powszechnej. W 1934/35 roku szkolnym ilość szkół, w których dziedzina przewyższała ustalone normy, stanowiła od 38,3 do 63,2 procentu ogólnej liczby szkół w kraju. Specjalnie jest upośledzona wieś. Jeżeli porównamy procent przeludnionych szkół powszechnych o 1—3 nauczycielach (tego rodzaju szkoły dominują na wsi) w miastach i na wsi, otrzymamy następujące cyfry: od 14,7 do 50 proc. dla miast, od 38,4 do 65,8 proc. dla wsi.

Najwięcej szkół przeludnionych (t. zw. szkół-śledziówek) znajduje się w województwach wschodnich ilość ich sięga od 47,7 proc. (dla szkół o jednym nauczycielu) do 87,5 proc. (dla szkół o 6 nauczycielach) ogólnej liczby szkół.

Na kresach wschodnich musieliśmy budować szkolnictwo powszechne dosłownie z niczego; zaborca nie pozostawił po sobie nic, oprócz beznadziejnej ciemnoty i nędzy chłopskiej. Potrzeby szkolnictwa na terenie województw wschodnich są szczególnie pilne; każda szkoła stanowi tam placówkę naszej państwowości i kultury.

W najlepszych warunkach pracuje szkolnictwo powszechne na Śląsku (odpowiednie cyfry wynoszą: 1,8 i 10 proc). Zaborca zachodni pozostawił poważny kompleks budynków szkolnych, co znacznie ułatwiło stworzenie polskiego szkolnictwa.

W województwach centralnych ilość szkół przeludnionych waha się od 44—76,2 procent.

## 7 godzin trwał najkrótszy związek małżeński

Związek małżeński, który trwał najkrócej, bo tylko siedem godzin, miał miejsce — oczywiście — w kraju rekordów, w Ameryce.

Frank Dewito, Włoch z pochodzenia, wstąpił do baru nowojorskiego na kolację. Zwróciła tam jego uwagę piękna kelnerka, Juanita Arlington. Miłość od pierwszego spojrzenia sprawiła, że po trzydziestu minutach Dewito oświadczył się kelnerce, która też przyjęła jego oświadczyny.

O dwunastej w nocy stanęła młoda para przed urzędnikiem cywilnym, ślub cywilny został zawarty. O 1-szej w nocy nowoupieczony małżonek zażądał od swej żony pieniędzy na zapłacenie taksówki, która ich przywiozła do urzędu cywilnego. Stąd wynikła kłótnia, gdyż pani Dewito przyjęła z widocznym złym humorem żądanie męża.

Kłótnia przybrała wkrótce takie rozmiary, iż pani Dewito wezwała na pomoc policjanta, gdyż jej krewki i południowym temperamentem obdarzony małżonek uniósł się tak dalece, że... spoliczkował ją. W półtorej godziny potem Dewito został aresztowany, a o 7-ej rano złożyła pani Dewito podanie o udzielenie rozwodu. Nawet jak na Amerykę jest to tempo rekordowo szybkie.

# Świat i życie

## Na dworze Gustawa V.

(Korespondencja własna.)

Sztokholm, w lipcu 1936 r.

Sztokholm jest niewątpliwie najbardziej królewskiem miastem. Zamek królewski stanowi tutaj ośrodek miasta, jego szczyt i gmach główny. Wzniesiony u najdalszego końca dawnego miasta, na olbrzymich fundamentach, skał archipelagu sztokholmskiego, gigantyczną swą masą góruje nad skałami i wodami, wywiera wrażenie tronu z granitu, u stóp którego skupiają się inne gmachy: świątynie ministerstwa, banki, koszary i budynek parlamentu.

Aby zastąpić dawny zamek Trzech Koron, zniszczony w okresie dzieciństwa Karola XII., architekci starali się zaznaczyć w budowli epokę, w której rządy królewskie uwalniały się już z więzów feodalizmu. Żadnych wieżyc, baszt zębatych itp. ozdób, ale jasne i czyste linje, spokojne zarysy pozbawione ornamentacyj.

Obok Wersalu pałac w Sztokholmie jest z pewnością najwymowniejszym wyrazem królewskości. Zamieszkują go władcy konstytucyjni, najbardziej demokratyczni na świecie.

Przeszłość przypominają tylko pozostałości ceremonjału dworskiego. Cudzoziemiec, któremuby się przypadkowo zdarzyło być obecnym na przyjęciu dworskiem, sądziłby, że został przeniesiony w czasy królowej Krystyny (córki Gustawa Adolfa). Na schodach przejść trzeba pomiędzy podwójnym szpalerem trabantów w stalowych zbrojach i trójkątnych kapeluszach minąć niezliczone sale, ozdobione gobelinami, gdzie goście spotykają szambelani i damy dworu. W sali tronowej goście zajmują miejsce na trybunie usianej koronami. Orszak królewski, poprzedzony przez hajduków wchodzi na salę według przepisów protokółu trwającego od stuleci. Dygnitarze dworscy.

których liczba jest nieskończona — marszałkowie i ochmistrze dworu, szefowie protokółu, szambelani dworscy, adjutanci — olśniewają bogactwem mundurów. Wszyscy ci dygnitarze wymagają mianowania ich ścisłemi tytułami według rangi, dokładnie oznaczonei w liście dworskiej. Nawet damy dworu są zmuszone do noszenia dawnych strojów z bufiastemi rękawami, w smutnych kolorach — czarnym z białym, jak wyznaczyła to królowa Zofja. Dość, że mężczyźni „pawią się" w lśniących strojach przy dworze sztokholmskim podczas, gdy kobiety noszą coś w rodzaju jednostajnego fraka.

Wobec tej olśniewającej widowni król zajmuje miejsce na wzniesieniu, górując nad swymi poddanymi jak zamek królewski nad stolicą. O kilka stopni niżei zasiadają księżniczki, dalej nieco książęta. Wobec całei tej pompy ma się wrażenie, że pałac w Sztokholmie jest więcej niż symbolem.

Jednak okazje, przy których król godzi się na rozwinięcie pompy związanej z jego stanowiskiem, są bardzo rzadkie — otwarcie parlamentu, ślub książęcy, koncerty dworskie, zniesione zresztą od śmierci królowej. Wszystkie te zewnętrzne oznaki wspaniałości nie robią przyjemności królowi, który jak wiadomo zrzekł się kiedyś tradycyjnego obchodu koronacyjnego.

Król nowoczesny — zdaniem Gustawa V tem tylko wyrównać może przywileje tronu, że staje się pierwszym sługą swego narodu. Stąd pochodzi wielki szacunek króla szwedzkiego dla konstytucji, parlamentaryzmu i opinji publicznej. Gustaw V. zawsze miał sobie za punkt honoru współpracować najściślej z gabinetem ministrów, niezależnie od zabarwienia politycznego — konserwatywnego, liberalnego, czy też socjalistycznego, gdyż chodzi mu głównie o przystosowanie się do większości narodu. Tem właśnie król zaskarbił sobie przywiązanie narodu.

Prostota i dobroduszność króla są przysłowiowe. Rzec można bez przesady, że monarcha i jego rodzina większymi są demokratami od swoich dworzan. Powiadają, że król z trudnością wypełnił swój obowiązek. sprzeciwiając się małżeństwu księcia Lennarta z mieszczanką. Zarówno jego serce dziadka jak i zapatrywania osobiste bynajmniej nie stawały na przeszkodzie podobnemu związkowi.

Król często odwiedza swoich poddanych i przyjmuje do nich zaproszenia na obiady. Największą jego przyjemnością jest gra w tennisa, którą uprawia z mistrzostwem pomimo swoich lat 75.

Również lubi polowanie i jest naogół zawołanym sportsmenem.

Sztokholmianie ponad wszystko cenią w swoim królu że pomimo swej godności nigdy nie przestaje być człowiekiem. Zapomnieć dotąd nie mogą króla jak płakał przy katafalku małżonki. Braku wrażliwości zdaje się nie uważać za niezbędną cechą królów.

Dawne królestwo Szwecji wydaje się zdumiewającą szkołą równości, a Gustaw V. jest doskonałym w tym zakresie profesorem. Jego długie panowanie wciągu lat dwudziestuczterech stanowi kurs demokracji zastosowanej w praktyce.

## *Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie*

**Niedziela, dnia 26 lipca 1936 r.**

Godz. 8,00 Audycja poranna. 9,00 Transmisja nabożeństwa. 12,03 Poranek muzyczny. 14,30 „Audycja dla wsi". 15,30 Muzyka lekka i rozrywkowa. 16,30 Reportaż z życia. 17,00 Motywy polskie w muzyce obcej. 18,00 Słuchowisko regjonalne p/g „Chłopów" — Reymonta. 18,35 Tadeusz Seredyński: „Wielkie potpouri wiedeńskie". 20,20 „Co czytać"? 21,30 „Dożynki" — suita ludowa Marjana Rudnickiego. 22,20 Muzyka taneczna. 23,00 Muzyka taneczna.

**Poniedziałek, dnia 27 lipca 1936 r.**

Godz. 6,30 Audycja poranna. 12,23 Koncert w wykonaniu Zespołu Salonowego Pawła Rynasa. 15,45 „W co się będziemy bawili" — transmisja z ogródka dziecięcego w Wilnie. 16,00 Koncert. 16,45 „Podwórko i świat" — pogadanka. 17,00 Płyty dla dzieci. 17,50 „Z wędką na bystrej wodzie" — pogadanka. 19,00 Recital fortepianowy Ireny Kaszowskiej. 19,55 „Legenda o sonacie księżycowej". 20,30 „Wyprawa żaglowa przez Pomorze" — feljeton. 21,00 Koncert w wykonaniu Ork. Marynarki Wojennej. 22,15 Wielki koncert muzyki polskiej z dziedzińca wawelskiego. 23,00 Muzyka taneczna (płyty Syrena — Elektro).

**Wtorek, dnia 28 lipca 1936 r.**

Godz. 6,30 Audycja poranna. 12,23 Muzyka skandynawska i fińska (płyty „Columbia"). 16,00 Trio Polskiego Radja. 16,45 „Stefan Czarniecki" — odczyt. 17,00 Koncert. 18,00 „Królewskie ogrody" — pogadanka dla dzieci. 19,05 Edward Grieg: Sonata F-dur. 19,35 Koncert Małej Orkiestry P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego. 20,30 „Poezja sportu". 21,00 Recital fortepianowy Oksany Curkowskiej. 21,20 „W pogodną noc". 22,15 Muzyka taneczna z Ciechocinka oraz z płyt.

**Środa, dnia 29 lipca 1936 r.**

Godz. 6,30 Audycja poranna. 12,23 Muzyka lekka i taneczna z Ciechocinka. 15,45 „Panna z mokrą głową" — słuchowisko dla dzieci. 16,15 Wielcy odtwórcy własnych dzieł. 17,000 Koncert mandolinistów. 17,30 Duety wokalne. 17,50 Anegdoty z życia Pasteura. 19,05 Koncert orkiestry kameralnei z Wilna. 20,00 Pół godziny najznakomitszych revellersów świata. 20,30 Wędrówka mikrofonu po prowincji. 21,00 Koncert Chopinowski. 21,30 Kwartet smyczkowy Ludomira Różyckiego. 22,15 Pamiętnik Izadory Duncan — audycja muzyczna. 23,00 Muzyka taneczna.

**Czwartek, dnia 30 lipca 1936 r.**

Godz. 6,30 Audycja poranna. 12,23 Młodzi skrzypkowie polscy (aud. z płyt). 15,45 „Wakacje matki" — pogadanka dla dzieci. 16,00 Koncert orkiestry 57 p. p. 17,00 Koncert z Ciechocinka. 19,00 Dr. Abernethy przyjmuje" — premjera słuchowiskowa. 19,35 Nasze pieśni — koncert. 20,05 „Podróż w wyobraźni do Brazylji" — obrazek muzyczno poet. 20,55 Symfonja h-moll I. Paderewskiego. 22,00 Feljeton i transmisja z XI Olimpjady w Berlinie. 23,35 Muzyka taneczna.

**Piątek, dnia 31 lipca 1936 r.**

Godz. 6,30 Audycja poranna. 12,23 zespół kameralny Niny Mańskiej. 16,00 Koncert muzyki lekkiej. 17.00 Najnowsze nagrania słynnych zespołów salonowych. 19,05 Transmisja z Salzburga opery „Falstaff" Verdiego. 22,10 Mikrofony P. R. na stadjonach XI Olimpjady (transm. z Berlina). 22,35 Muzyka taneczna.

**Sobota, dnia 1 sierpnia 1936 r.**

Godz. 6,30 Audycja poranna. 12,23 Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego. 14,30 Muzyka lekka z płyt. 15,35 „Bim i Bum w opałach" — audycja dla dzieci. 16,00 Recital fortepianowy Marji Chasin. 16,30 Recital śpiewaczy M. Perkowicza. 16,45 „Złoto Bałtyku" — odczyt. 17,00 Otwarcie Igrzysk Olimpijskich w Berlinie (Transmisja). 19,00 „Na swojską nutę" — kapela ludowa i soliści. 20,15 Wieczór wśród górali — audycja dla Polaków zagranicą. 21,00 Recital skrzypcowy Szymona Beliny. 21,30 „Świstawka" — groteska radjowa. 22,05 Migawki i wiadomości olimpijskie z Berlina. 22,35 Muzyka lekka.

# *Pelagja*

(Wesoła historyjka)

Pelagja była analfabetką. Ani podpisać się nie potrafiła.

Mąż Pelagji był odpowiedzialnym pracownikiem sowieckim. Chociaż był człowiekiem prostym, ze wsi, w ciągu pięciu lat życia w mieście podniósł się we wszystkiem. Nietylko podpisać się umiał, ale czart wie co wszystko potrafił.

I bardzo wstydził się za to, że jego żona była analfabetką.

— Gdybyś, Pelagjuszko, przynajmniej podpisać się umiała — narzekał. — Takie łatwe nazwisko mam, dwie sylaby zaledwie — Kucz-kim, a ty nie potrafisz... To wstyd, hańba...

Pelagja jednak zazwyczaj machnie tylko ręką i mówi:

— Na co się to przyda, Iwanie Mikołajewiczu. Lata mijają. Ręka sztywnieje. Poco mam się obecnie uczyć litery malować? Niech raczej młodzi pionierzy się uczą, ja i tak do swego wieku dożyję.

Mąż Pelagji był człowiekiem stale zajętym i żonie swej dużo czasu poświęcać nie mógł. Pokiwa głową — ech, pono, Pelagjo, Pelagji. I zamilknie.

Pewnego razu Iwan Mikołajewicz jednak przyniósł specjalną książkę.

— Patrz, — mówi — Polsjo, najnowszy elementarz dla samouków, opracowany według najnowocześniejszych metod. Ja, — mówi — sam uczyć cię będę.

A Pelagja milcząco uśmiechnęła się, wzięła elementarz do ręki, zważyła i rzuciła na skrzynię. Niech sobie leży, może potrzebny będzie potomkom.

Ale pewnego dnia Pelagja usiadła do pracy. Iwanowi Mikołajewiczowi marynarkę trzeba było sprawić, rękaw był wytarty.

Usiadła więc Pelagja za stół. Wzięła igłę. Wsunęła rękę pod surdut. Coś zaszeleściło.

— Czy to nie pieniądze? — pomyślała sobie Pelagja.

Patrzy — list. Czysta taka koperta, delikatne literki na niej, a papier jakby pachniał wodą kolońską. Załukło serce Pelagji.

— Czyżby — myśli sobie — Iwan Mikołajewicz bez przyczyny mnie zdradzał? Czyżby on korespondencję miłosną prowadził z porządnymi damami a ze mnie, gęsi niepiszącej, się wyśmiewał?

Pelagja spojrzała na kopertę, wyjęła list, rozwarła — ale przeczytać słowa nie umiała.

Po raz pierwszy Pelagja żałowała, że nie umie czytać.

— Chociaż jest to obcy list, — mówi do siebie — muszę wiedzieć co w nim napisane. Może, że tem całe moje życie się zmieni i będzie lepiej, jeśli wyjadę na wieś do pracy na roli.

Zapłakała Pelagja. Przypomina sobie, że Iwan Mikołajewicz w ostatnim czasie jakoś się zmienił. Jakoś troszczy się o swe wąsy i ręce częściej sobie myje. Siedzi i płacze, patrząc na list. A przeczytać go nie może. Obcemu list pokazać nie warto. Potem schowała list do bieliźniarki, sprawiła marynarkę i czeka aż Iwan Mikołajewicz wróci. Wróciwszy, Pelagja jakoby nic. Przeciwnie, spokojnie rozmawiała z mężem a nawet naznaczyła, że nie miałaby nic przeciw temu, gdyby nauczyła się czytać, że już ją znudziła rola niewykształconej i niepiśmiennej kobiety.

Iwan Mikołajewicz ucieszył się bardzo.

— O! doskonale — zawołał — ja sam cię będę uczył.

— Więc mnie ucz — mówi Pelagja.

I zbliska patrzy na równe, podcięte wąsy Iwana Mikołajewicza.

Przez dwa miesiące Pelagja uczyła się czytać codziennie. Cierpliwie zestawiała literki, składała zgłoski i wypowiadała zdania. Każdego wieczoru wyjmowała z bieliźniarki fatalny list i starała się odgadnąć jego treść.

Jednak nie było to tak łatwe.

Dopiero w trzecim miesiącu wyniki nauki były wyraźniejsze. Rano, kiedy Iwan Mikołajewicz odszedł do pracy, Pelagja wyjęła list z bieliźniarki i poczęła czytać.

Z trudem odczytywała delikatne literki, a tylko woń wody kolońskiej dodawał jej odwagi i zapału.

List adresowany był do Iwana Mikołajewicza. Pelagja czytała:

Szanowny towarzyszu Kuczkinie! Przysyłam wam obiecany elementarz. Myślę, że wasza żona w dwóch, trzech miesiącach zupełnie zrozumie wszelką mądrość. Obiecujecie, że ją do tego nakłonicie. Wszczepiajcie w nią, tłumaczcie, jak to wstrętnie być niepiśmienną kobietą.

Z przyjacielskiem pozdrowieniem
Marja Blochinowa."

Pelagja dwa razy przeczytała list i obrażona zagryzła wargi, a potem zapłakała.

*Mich. Zoszczenko.*

Kazimierz zanurzył palce w jej jedwabistych włosach, ujął wiotką kibić i tulił ją czule do piersi. W komnacie zaległa cisza. Przez otwarte okno wlatywał odgłos szumiącej rzeki; czasem odezwał się sygnał przejeżdżającego parowca.

„Anielciu, czuję znużenie", rzekł wreszcie Kazimierz, „widocznie za dużo wypiłem."

„Może chcesz wyjść na balkon?" zapytała Lola, „i ochłonąć trochę w nocnem powietrzu?"

„Nie, dziękuję ci! Położę się do łóżka, — nie mogę mówić, — ze zmęczenia kleją mi się powieki. Anielciu, pocałuj mię, — ostatni raz — dzisiaj!"

Słowo „dzisiaj" brzmiało tak niepewnie. Lola, zajęta własnemi myślami, nie zważała wcale na niezwykły nastrój Kazimierza. Nie zauważyła jego wzruszonego głosu, namiętnych pocałunków, ani tych dwóch dużych łez, które spadły teraz na jego wychudłe policzki.

Lola zaprowadziła go do sypialni, położonej na pierwszem piętrze.

„Może zawołać Alfonsa, by ci pomógł przy rozbieraniu?"

„Nie, dziękuję ci, Anielciu, — zbyteczne! Dziwna rzecz, — czuję nienawiść do tego lokaja! Zostaw mię samego! — Połóż się spać, — wypocznij, — dobranoc, Anielciu!"

„Dobranoc, Kazimierzu! — Jutro rano zbudzę cię słodkim pocałunkiem!"

„Jutro rano!" wyszeptały drżące wargi ociemniałego, „tak, jutro rano, — rano, — zbudzisz mię!"

Lola chciała go jeszcze raz pocałować, lecz Kazimierz odepchnął ją brutalnie.

Lecz, gdy otworzyła drzwi i stanęła na progu, — biedny hrabia zawołał nagle, jakby prosił o pomoc:

„Anielciu, — Anielciu, — żegnaj, Anielciu!"

„Dobranoc, drogi mężu!" odparła Lola, wypuściła klamkę, przyskoczyła do Kazimierza i złożyła na jego ustach namiętnny pocałunek.

„Kazimierzu, zaśnij z myślą o tym całusie!" szepnęła mu do ucha, „ten całus niechaj cię przeniesie w kraj marzeń, dopóki jutro rano nie zburzę ich nowym pocałunkiem! — Dobranoc, ukochany, dowidzenia!"

Kazimierz odwrócił się, — opuszczały go siły. Gdy drzwi się zamknęły, a na korytarzu ucichły kroki Loli, — nagle osunął się bezwładnie na posłanie i zakrył ręką oczy.

Zapłakaną twarz przyłożył do poduszek; z trudem tłumił bolesne jęki, które wydzierały się przemocą z jego piersi.

Przeszło godzinę leżał jak bez życia. Następnie zerwał się i przystąpił do drzwi. Teraz otworzył je cicho i wsłuchiwał się w ciszę, panującą na korytarzu.

Ociemniały nie widział naturalnie światła, czuł jednak instynktownie ciemność.

Duży zegar zamkowy zaczął wydzwaniać godzinę. — Kazimierz liczył uderzenia; — zegar wybił głucho jedenastą godzinę.

„Teraz — do dzieła!" szepnął, „do dzieła! Nigdy nie nadarzy mi się lepsza sposobność. Udam się na skałę Lorelei, a potem — do Warty. Pod skałą toczy rzeka szerokie wiry. Kto tam wskoczy, jest bez ratunku zgubiony; wir rzuci go w głębinę i zanurzy na dno. — — Haha, ludzie opowiadają o bajecznym skarbie, który podobno leży tam na dnie. Znam ten skarb, — to spokój i wieczne zapomnienie! Czyż nieszczęśliwy człowiek może znaleźć większy skarb? Precz, — naprzód! Muszę raz skończyć!"

Młody, przystojny hrabia wyszedł na palcach z komnaty. Wyciągnął drżącą rękę i położył ją na ścianie, szukając w ten sposób drogi.

Oh, zamek przodków znał jak własną kieszeń i nie potrzebował się kierować wzrokiem.

Wiedział, ile musi zrobić kroków, nim dojdzie do schodów. Następnie policzy tylko stopnie, a ostatni z nich będzie znakiem, że jest na parterze. Każdy krok, każde zagięcie było mu dobrze znane, gdyż w dziecięcych latach bawił się po wszystkich kątach i zakamarkach.

Jako młodzieniec patrzył na te stare mury, a później w dojrzałym wieku oddychał zawsze zamkową atmosferą. Znał więc doskonale zamek i jego okolicę.

Kazimierz uważał jednak bacznie na każdy krok, obawiając się słusznie, by szelest nie zbudził „Anielci".

Wiedział, że śpi nadzwyczaj lekko i żyje w ciągłej obawie o niego.

Sypialnia Loli znajdowała się tuż obok jego pokoju. Zwykle drzwi były otwarte, lecz dzisiaj zamknięto je na jego wyraźnne życzenie.

Ociemniały schodził po schodach, — był na parterze. Dotychczas sprzyjało mu szczęście. Teraz ominął główną bramę, zwrócił się na lewo i przez małą, żelazną furtkę wydostał się na tak zwane podwórze zamkowe.

Zatrzymał się na chwilę i wciągał chciwie do płuc balsamiczne, nocne powietrze.

Następnie skierował swe kroki pod kolumnadę, biegnącą wzdłuż zamkowych murów. W ten sposób przyszedł na brzeg Warty.

Słyszał szum fal i czuł świeże powietrze, dolatujące od rzeki. Nad ziemią unosiła się balsamiczna woń.

Burza, szalejąca po południu nad całą okolicą, oczyściła atmosferę. Kazimierz wprawdzie nie widział, lecz w duszy odczuwał za to magiczne światło księżyca, oświecającego polską rzekę.

I rzeczywiście! Urocza księżycowa noc oblewała swem światłem całą okolicę, — noc, pełna tajemniczych uroków.

Tam w dole leżało miasteczko. Po drugiej stronie rzeki ciemnił się las, — odwieczny polski bór. W świetle księżyca wznosiły się dumne sosny i jodły,



W olimpijskim basenie pływackim w Berlinie, zaprawiają się do przyszłych pokazów, sławni zawodnicy.

rozłożyste buki i dęby, spoglądając zwycięsko na daleki kraj nad Wartą.

Rzeka szumiała głośno w nocnej ciszy. Zdało się, jakby drżała jeszcze pod wpływem burzy, która przed kilku godzinami szalała nad okolicą. Tafla rzeki wyglądała teraz jak płynne srebro. Było przecudnie w tej uroczej nocy.

O takiej porze wychodzą z łona Warty wodne boginki i zawodząc taniec na szumiących falach, zdradzają melodyjnym głosem tajemnice, które pochwyciły na dnie wodnego pałacu. W takich nocach, — jak mówi stara baśń, — przebiega po falach tajemnicze światło, — i wabi swym blaskiem samotnych przechodniów.

Lecz, gdzie jest szczęśliwy, który podsłuchał te cuda? Gdzie ten wybraniec losów? Dotychczas nie wydała go matka ziemia! I przejdą tysiące i tysiące lat, zanim zjawi się ów kochanek bogów.

Ach, biedny, ociemniały, idący nad brzegiem Warty, nie widział naturalnie tych cudów wspaniałej nocy księżycowej. Instynktownie czuł tylko i przedstawiał sobie w duszy całą tajemniczą wspaniałość tej letniej nocy.

A jednak szedł ciągle naprzód. Wiedział, że o pięćdziesiąt kroków od zamku znajdowało się przy brzegu małe czółno. Służba używała go w nagłych wypadkach do przejazdu na drugi brzeg rzeki.

Kazimierz zbliżył się do łódki. Pochylił się i odwiązał ją od kółka, do którego była przywiązana. Po chwili wszedł do łódki i usiadł na ławeczce.

Wiosła leżały w łódce. Ociemniały podniósł je i zanurzył w wodzie, zważając bacznie, by w zamku nikt nie posłyszał plusku fal. Łódka odbiła od brzegu i wypłynęła na środek szumiącej rzeki.

Kazimierz w młodzieńczych latach jeździł codziennie łódką na skałę Lorelei. Tam na górze leżał czasem całemi godzinami i wpatrywał się w spienione nurty Warty.

Patrzył z radością na daleki krajobraz, góry wznoszące się nad Wartą i zielone stare drzewa. W oku młodzieńca odbijała się cała przeszłość, która niegdyś szalała nad tym krajem. Widział starych mieszkańców Warty, walczących odważnie z nachodźcami z zachodu. Tam z tego dębowego lasu wyłaniały się niegdyś zbrojne zastępy i chciały wypędzić prawowitych mieszkańców tych brzegów.

Rzeka zaczerwieniła się krwią, a pola pokryły tysiącami pomordowanych trupów.

Później zjawili się inni rabusie, którym zachciało się tego kraju.

Lecz Polacy stanęli jak jeden mąż; stawili czoło znienawidzonym Niemcom i odparli ich daleko poza rzekę.

A niedawno temu, — myślał Kazimierz, jadąc czółnem, — hasło wojenne rozlegało się znowu nad wodami Warty, — i znowu walczono o polską rzekę.

Lecz polscy wojownicy strzegli bacznie brzegów Warty i starli w proch krzyżacką potęgę.



W ramach XI Olimpjady odbędzie się w Berlinie międzynarodowy konkurs tańca, w którym udział bierze również Polska. Powyżej widzimy grupę niemiecką w tańcu ludowym.

Dziwne! Obrazy przeszłości odżywały się smutnem echem w piersi nieszczęśliwego Kazimierza. Teraz jechał łódką do skały Lorelei, nie po to, by patrzył z zachwytem na uroczy krajobraz, albo oddał się marzeniom minionej młodości, — nie, dzisiaj jechał jako mężczyzna, idący na pewną śmierć! Dzisiaj jechał do skały Lorelei, — z której skoczy w spienione nurty Warty i zginie w wiecznej nicości.

Kazimierz sterował tak wyśmienicie łódką, że ani na metr nie chybił od właściwej drogi. Przeszył łódką całą szerokość Warty i skierował ją prosto na skałę Lorelei.

Ociemniały zauważył, że rzeka płynęła tutaj spokojniej. Więc zatoczył łódką mały łuk, by nie wpaść do wiru. Wiedział o jednem miejscu, w którem będzie mógł bezpiecznie przybić do brzegu.

Młody hrabia wysiadł z łódki i wszedł na wąską ścieżkę, prowadzącą na szczyt skały.

Dokoła panowała głęboka cisza; tylko plusk wody dolatywał czasem z dołu.

Kazimierz szedł z pochyloną na piersi głową. Po chwili znalazł się na szczycie. Doszedł więc do swojego celu.

Teraz weźmie z życiem krótkie pożegnanie, a potem rzuci się ze skały.

Ociemniały upadł na trawę, która kryła zielenią całą skałę Lorelei.

Złożył ręce; nie modlił się jednak, sądził bowiem, że w tej chwili nie miał prawa modlić się do Boga, gdyż w głębi serca nosił się ze straszną myślą. Postanowił zwrócić Bogu największy dar ludzkości: życie. A jednak w duszy czuł nabożny nastrój, stokroć większy od zwykłej modlitwy.

W tej chwili Kazimierz nie czuł żalu, i nie robił wyrzutów przeznaczeniu.

„Śmierć równa wszystko", mówił cichym, łzawym głosem, „stawia ociemniałego obok widzącego, gdyż w grobie panuje wieczna noc. A gdy trąby zawołają nas kiedyś na sąd ostateczny, — otworzą się groby, powstaną zmarli — i wszyscy będą widzieć.

„Żegnaj, moja ukochana Anielciu! Żegnaj, jedyny skarbie. Byłaś mojem słońcem na ziemi i jedynem szczęściem. Dziękuję ci za twe troski i dobre serce. Tak, tylko ze względu na ciebie opuszczam ten świat. Poco masz być związaną z ociemniałym człowiekiem, — który potrzebuje ciągle przewodnika i opiekuna, jak małe nierozumne dziecko! — Wiem, zapłaczesz, gdy się dowiesz, że Kazimierz opuścił tę ziemię. Lecz czas goi wszystkie rany, — więc i ty zapomnisz powoli o tem nieszczęściu. — Jednego dnia pojawi się znowu swobodny uśmiech na twoich ustach i podasz rękę drugiemu do wiecznego związku. — Dziwne, ta myśl budziła we mnie zawsze przykre uczucie!

— Zdawało mi się czasem, że stracę zmysły, — gdym sobie przedstawił Anielcię w ramionach innego mężczyzny. Lecz teraz, ta myśl jest dla mnie pewną pociechą. — Żegnaj, piękny, słoneczny świecie! — Nigdy nie zobaczę cię więcej, — odchodzę, — ty zostajesz! — Jak łatwo znika człowiek z tej ziemi i ginie w tajemniczej nicości! — Rodzimy się z zarazkiem śmierci. Różnica lecz tylko w rodzaju śmierci! — Umieram jako człowiek, który osiągnął największe doczesne szczęście. Kochałem Anielcię i pieściłem ją w moich ramionach, — odchodzę więc zadowolony z tego świata".

Kazimierz chciał powstać, lecz gwałtowny płacz wstrząsnął jego ciałem. Gorące łzy potoczyły się po twarzy nieszczęśliwego.

Upadł na ziemię i wyciągnął się na trawie. Biały kwiat lilji pochylił się nad jego głową i zakrył ją przed bladymi promieniami księżyca.

Kazimierz przyłożył twarz do murawy i płakał gorzko. Te łzy serdeczne ukołysały go powoli do snu, tak że Kazimierz zamiast zakończyć życie, spoczywał teraz spokojnie pod lilją,

której kwiaty muskały jego skronie.

Kazimierz marzył słodko. Rosa, perląca się na trawie, myła jego oczy i zapłakane oblicze.

Śnił, że skała Lorelei zbliżyła się do niego, — owa bajeczna młoda kobieta z rozwianym włosem, która siedząc na skale, wabi swym śpiewem przejeżdżających rybaków. Biedni ludzie zapominają o niebezpieczeństwie, które im grozi pod skałą i wsłuchują się w czarowne pienia!...

Mityczna Loreley stała więc przy boku śpiącego Kazimierza.

Była piękniejszą od wiosny i posiadała wszystkie wdzięki śmiertelnych dziewic, okraszonych nadziemską pięknością.

W jej włosach błyszczały migotliwe gwjazdki, a jasne oczy spoglądały na dno duszy nieszczęśliwego Kazimierza.

Po chwili pochyliła się nad nim i zwilżywszy rosą białe rączki, myła jego zamknięte powieki.

Nigdy w życiu nie odczuwał takiej błogości, jak teraz. — Nagle zdało mu się, że w jego ciele zaszła wielka zmiana, — i zapłakał rzewnie we śnie.

Lorelea usiadła przy nim i śpiewała swoje piękne piosenki.

Nuciła o miłości i wiośnie, — o Warcie i niezmierzonych głębinach, — śpiewała o polskim kraju i polskich dziewczętach.

Opowiadała mu, że go już zna dawno, gdy jeszcze jako chłopiec bawił się nad brzegami rzeki. Później, — w młodzieńczym wieku kołysała do snu na tej skale, kładła swoją białą rączkę na jego serce i szeptała cicho:

„Czekaj, — w twoim sercu rozkwitnie kiedyś także kwiat pierwszej miłości"!

Opowiadała mu bajki o skarbach, leżących na dnie Warty i o rusałkach, które w księżycowych nocach kołyszą się na wartkich falach. W ten sposób dojrzewał powoli na mężczyznę.

Ona wyprowadziła go na daleką arenę światową i zapoznała z najpiękniejszą z dziewic, — z Anielcią.

Anielcia miała w sobie coś z wdzięku i urody Lorelei. Dlatego pokochał ją, jakby ujrzał samą Loreleę.

Teraz spotkało go nieszczęście, — tak mówiła Lorelea, — wie dawno o tem, — boleje nad tem zrządzeniem losów.

Dlatego poddała mu myśl, by przyszedł na skałę Lorelei, gdzie odzyska znowu swój utracony zwrok.

Niech śpi i śni uroczo, — a gdy różowa jutrzenka zabłyśnie na wschodzie, to się przebudzi i przejrzy.

Kazimierz śnił i napawał się tem uroczem marzeniem.

Lecz dziwne! Nagle zdało mu się, że zamiast Lorelei zjawiła się przy nim Anielcia, którą nazywał swoją żoną.

Lecz skąd przyszła i jak wyglądała? Była ubrana w długi płaszcz i trzymała w ręce mały kuferek. Chodziła po skale Lorelei, jakby oczekiwała kogoś.

## CLXIV

### Grzech grzechów.

Sen Kazimierza urzeczywistnił się nagle.




Podczas wyścigów konnych, w Longchamps pod Paryżem, wtargnęły sufrażystki francuskie na pole wyścigowe z plakatami, domagającemi się praw głosowania.

Była to Lola, która przyszła o północy na skałę Lorelei, czekając na przybycie swojej matki Arabelli.

Zdziwiła się bardzo, że nie znalazła czółna. Dlatego musiała iść w górę rzeki i nająć rybaka, który ją przewiózł na drugą stronę.

Następnie wyszła na skałę Lorelei. Teraz stała na szczycie i czekała na Arabellę.

Na kościelnej wieży wydzwonił zegar dwunastą godzinę. Dźwięki zegaru obiły się o srebrzystą taflę Warty i ucichły w milczącym lesie. W tej samej chwili Lola posłyszała obce kroki.

„To ona"! szepnęła piękna, ciemnowłosa kobieta i położyła kuferek na ziemi. — „Teraz, — Lolu, bądź mężną, — teraz nadchodzi stanowcza chwila! Muszę ją zgładzić, — nie opuszczę Kazimierza na żadną cenę! — Nie, raczej —"

Lola nie dokończyła. Spoglądała złowrogo na spienione fale Warty, które biły ustawicznie o skałę Lorelei, jakby ją chciały pochwycić w swoje ramiona i unieść do sinego morza.

Na skale Lorelei wyłoniła się nagle druga postać. Była to Arabella.

Wzdrygnęła się, zobaczywszy przed sobą Lolę. Widocznie nie spodziewała się, że jej córka będzie tak punktualną.

A może nawet wątpiła, czy Lola wogóle przyjdzie.

„Lolu", zawołała, „to ty? — Tem lepiej. Opuśćmy jak najprędzej to miejsce. Musimy się spieszyć, jeżeli chcemy zdążyć na pociąg, który w nocy wyjeżdża z miasta."

„Matko, dokąd pojedziemy?" zapytała Lola.

„Do Holandji", odparła Arabella; „najpierw zatrzymamy się przez pewien czas w Amsterdamie. Może tam umrę. Słyszałam jednak, że w Amsterdamie żyje pewien słynny lekarz, który wyleczył wiele ludzi z tej choroby, która mię prawie zupełnie zniszczyła".

„Matko, jesteś rzeczywiście chora?" zawołała Lola i przyskoczyła do Arabelli z fałszywem zaniepokojeniem, jakby ta wiadomość zakrwawiła jej serce.

„Pytasz, czym chora", rzekła głucho Arabella, „mój Boże, niedługo będziesz czekać na moją śmierć. Wtedy możesz powrócić do Kazimierza. Lecz jak długo żyję, nie będziesz go widzieć".

„Matko, nie myślę o tem wcale", mówiła piękna awanturnica; zarzuciła swoje ramiona na szyję Arabelli i prowadziła ją powoli nad brzeg skały, — „nie, w tej chwili nie myślę o Kazimierzu. Żałuję cię, droga matko. Ah, może byłybyśmy się pokochały, gdyby losy złączyły nas wcześniej. Ach, jakie to szczęście mieć matkę! Nieprawda, mateczko, ty — mię także kochasz?"

„Czy cię kocham?" odparła Arabella. — „Był czas, kiedy tęskniłam za tobą i pragnęłam cię pieścić w moich objęciach. Lecz później, gdy mi zabrałaś tego pięknego mężczyznę, — gardziłam tobą i nienawidziłam cię z całej duszy. — Wiesz, że nigdy nie wydaję się za coś lepszego. Lolu, dlaczego trzymasz mię tak silnie?"

„Chcę cię uściskać, mateczko!" zawołała piękna awanturnica. „Oh, pozwól, że spojrzę w twoje oczy i poszukam tego błysku macierzyńskiej miłości, który nadaje oczom wygląd wschodzącego słońca".

Lola ujęła Arabellę za rękę i ściskała z całej siły.

Arabella zupełnie bezwiednie zwróciła się plecami do rzeki.

Przestrzeń, dzieląca ją od brzegu skały, mogła wynosić najwyżej dwa kroki, — a może i mniej.

Lecz Arabella nie zauważyła tego i nie podejrzywała Loli o złe zamiary. Rysy młodej, pięknej kobiety, która była jej córką, przybrały nagle marmurowy wyraz.

Arabella była zanadto wzruszoną, gdyż w głębi jej serca budziło się uczucie podobne do macierzyńskiej miłości.

„Tak, Lolu,“ zawołała Arabella, „wszystko byłoby się inaczej stało, gdyby nie ten los, który nas przedwcześnie rozłączył. Wyrosłaś,“ — mówiła głuchym, stłumionym głosem, — „zdala od miłości matki! A ja? Kto stoi nad grobem i patrzy ciągle w twarz kościotrupa, ten zwykle nie myli się i widzi jasno błędy popełnione w przeszłości. — Wiele, bardzo wiele zawiniłam! Ciężko zgrzeszyłam! Dla próżności i bezmyślnych tryumfów poświęciłam własne dziecko. — Może cię nienawidziłam, gdyż prawdę mówiąc, nie kochałam nigdy twojego ojca. Lecz, gdym sobie przypomniała, że mam jeszcze córkę, — niestety było już za późno! Nie mogłam cię otoczyć czystą macierzyńską miłością, a i ty nie byłaś także w stanie pokochać twojej matki! A jednak, przypomnij sobie, Lolu, czym ci nie życzyła dobrze? Wyratowałam cię z bagna zepsucia i dałam ci tego rodzaju stanowisko, że niejeden spoglądał z zazdrością na ciebie! Wprowadziłam cię do domu hrabiego Zygmunta Sokolskiego, który przyjął cię za córkę i zbudowałam twoje szczęście. Gdybyś była trochę ostrożniejszą i zważała na rady matki, — to obydwie osiągnęłybyśmy nasz wspólny cel! Byłabyś nadal hrabianką Sokolską, — a ja cieszyłabym się twojem szczęściem. — Nagle pojawił się między nami mężczyzna, — który wzniecił miłość i pożądliwość w naszych sercach! — Nie byłam za starą, bym miała zrezygnować z tego szczęścia, — ty zaś byłaś młodą i nie mogłaś się poświęcić! — Młodość jest egoistą; pragnie rozkoszy i nie zrzeka się szczęścia. Od chwili, kiedy zauważyłam, że kochasz Kazimierza Zamskiego, zostałam twoją nieprzyjaciółką. Tak, ogarniała mię wściekłość, widząc, że ci się udało zapanować nad Kazimierzem.

„Lecz jaką drogą doszłaś do tego zwycięstwa? Drogą, którą ci osobiście wskazałam! Kazimierz ożenił się z tobą i był przekonany, że jesteś córką hrabiego Sokolskiego. Teraz zdobyłaś go znowu podłem oszustwem! — Ha, nędzna kobieto, czy nie drżysz na myśl, gdyby twoja intryga wyszła na jaw?“

„Nie, matko. Byłam panią sytuacji do chwili, kiedy zjawiłaś się na zamku.“

„A gdyby się tak nagle znalazła owa nieszczęśliwa Anielcia, — co wtedy? Co odpowiesz na to straszne oskarżenie, żeś jej po raz drugi ukradła męża i kochanka?“

„Co odpowiem?“ odparła złowrogo i ponuro Lola. „Nic nie powiem. Najwyżej zaprowadziłabym Anielcię na tę skałę, — tutaj, gdzie teraz stoimy, — potem porwałabym ją za rękę, tak, jak ciebie, matko, — i starałabym się ją wrzucić we fale Warty, — co też uczynię z tobą! — Przeklęta, idź do piekła, — umieraj!...“

Głos Loli z każdą sekundą brzmiał coraz silniej i nieprzyjemniej.

Nad brzegiem przepaści rozpoczęła się walka na śmierć i życie.



Miejscowość kuracyjna Vöslau, obchodziła onegdaj 800-lecie swego istnienia. W ramach uroczystości, przeciągały ulicami miasta barwne korowody pojazdów, z których największe zainteresowanie wzbudziła grupa właścicieli winnic, których udekorowane wozy widzimy na zdjęciu.

Lola, trzymając Arabellę za ręce, pchała ją ciągle ku otchłani.

Nieszczęśliwa, nie podejrzywając początkowo, że wpadła w ręce morderczyni, starała się naprożno uwolnić z jej rąk, które trzymały ją w żelaznym uścisku. — Chciała wyrwać się i odtrącić Lolę, lecz występna kobieta trzymała ją silnie, — a teraz — —

Nieludzki okrzyk obił się o szumiące fale Warty i w tej samej chwili z brzegu skały Lorelei potoczyło się ciało Arabelli do rzeki.

Nieszczęśliwa Arabella skierowała jeszcze raz swój wzrok na morderczynię, która, pochyliwszy się nad skałą, obserwowała śmiertelny upadek swojej ofiary, jakby chciała się naocznie przekonać, czy fale Warty pochłonęły jej matkę. Ten wzrok padł na duszę Loli, jak roztopiony ołów, — ten wzrok wybił w jej mózgu ogniste znamię. — Nigdy nie zapomni tego spojrzenia, którem ją obrzuciła podstępnie zamordowana matka. Do śmierci będzie pamiętać ten straszny wzrok, równający się samemu przekleństwu.

Fale Warty prysnęły wysoko. Arabella spadła na dno rzeki. A tam na skale stała Lola, jak złowroga, skamieniała Loreley, która w przeciwieństwie do bajecznej, nie zadawalniała się śmiercią obcych ofiar, lecz spełniła własnoręcznie straszną zbrodnię na własnej matce.

Lola słuchała. Dokoła panowała głucha cisza.

Podniosła głowę i spojrzała nieśmiało przed siebie. Zdawało się jej, że od kwiatów lilji doleciał jakiś niewyraźny szmer.

Nie, to było zudzenie, — tak, to niemożliwe! Jaka trwoga targała jej duszą! Powinien się odzwyczaić od bojaźni, kto zabija własną matkę. — Tak, taki czyn musi zapanować nad trwogą i bojaźnią.

Ha, święty Boże, — na środku rzeki pokazała się głowa; to Arabella, którą unosiły fale. Jej postać odbijała ponuro od srebrzystej tafli, — to blade, skrzywione oblicze, skąpane światłem księżyca, było podobne do twarzy upiora. — Rozwiane włosy tworzyły straszne tło do tego martwego oblicza, które wyglądało, jakby już leżało kilka miesięcy w grobie.

Lola chciała się odwrócić, by nie patrzeć na to martwe oblicze. Lecz nieprzeparta siła więziła jej oczy w kierunku rzeki. Nie mogła się ruszyć z miejsca.

Ah, straszna Nemezis mściła się za potworne morderstwo i zmusiła Lolę do obserwowawania, jak jej matka walczyła rozpaczliwie z falami. Ani jeden ruch nie uszedł uwagi morderczyni, a o uszy zbrodniczej kobiety obijało się wołanie tonącej Arabelli.

Wykrzywione usta otwarły się nagle, a w powietrzu rozległ się okropny krzyk i przekleństwo:

„Bądź przeklęta przez całe twoje życie! Zamordowałaś mię, więc zgiń i ty z ręki mordercy! Oby cię zabił twój ukochany!“

Potężna fala uderzyła o głowę Arabelli. Lola sądziła, że już nadszedł koniec tej męki, — lecz tonąca pokazała się znowu na falach. Groźnie podniosła rękę.

„Bądź przeklętą na tej ziemi! Bodajś nie wyszła z piekła! Wszystkim grzesznikom zostaną odpuszczone grzechy, tylko nie matkobójcom!“

Lola wydała przeraźliwy okrzyk i upadła na kolana. Te słowa umierającej matki padły na nią jak uderzenia młotu. Opuszczały ją siły, — chciała ręką zakryć oczy, — tak, byle tylko nie widzieć i nie słyszeć, — lecz nieprzeparta siła otwarła jej oczy, jeszcze raz zobaczyła tonącą, — i była zmuszoną wypić aż do dna czarę boleści.

Fale uniosły Arabellę. Lecz jej postać pokazywała się ciągle na wodzie. Lola widziała ten dziki taniec martwego ciała, dopóki szalony wir nie porwał swojej ofiary w objęcia. — Jeszcze raz pokazało się ciało trupa, — jeszcze raz szklane, straszne oczy spoczęły na twarzy morderczyni z niemem, wściekłem przekleństwem. — A potem —

Wreszcie Lola zakryła twarz rękami, wreszcie udało się jej uwolnić od tego ponurego widoku.

Matkobójczyni leżała na ziemi i nie miała odwagi powstać. Spoglądała ciągle na rzekę, jakby chciała się upewnić, czy na rzece nie płynie trup jej matki.

Ach, morderstwo nie jest tak łatwą rzeczą, jak to sobie Lola przedstawiała! W jej piersi szalała straszna burza. Serce biło silnie, a gwałtowna febra wstrząsała jej ciałem.

Ach, jeżeli znajdą zwłoki? Czy nie spadnie na nią podejrzenie? Ach, głupstwo! Nikt nie wiedział, że ją łączył bliski stosunek z Arabellą. Zresztą w całej okolicy znano ją jako hrabiankę Sokolską z domu.

Nie, — nic jej nie groziło, — niepotrzebnie obawia się odpowiedzialności przed sądem! Lecz przed tobą, Lolu, wobec twojego sumienia! Nie boisz się?

Wewnętrzny głos szeptał Loli te słowa. Występna kobieta nie zawahała się odpowiedzieć:

„Prędko, zapomnę o zdarzeniach tej nocy. Zapomnę w ramionach ukochanego! Pocałunki Kazimierza rozproszą te przykre wspomnienia. Nigdy w życiu nie postawię nogi na tej skale i namówię Kazimierza, byśmy wyjechali zagranicę. Pojedziemy do Włoch. Tam w tym cudownym kraju, w neapolitańskich gajach, na placu św. Marka w Wenecji i na Forum w Rzymie, w błękitnej grocie na Capri, tam zapomnę o tem miejscu, na którem zamordowałam moją —“

Nie dokończyła. Głos sumienia szeptał złowrogo:

„Lolu, sądzisz, że zapomnisz o tej chwili? Idź, dokąd cię oczy poniosą. Ani pod włoskiem niebem, — ni w rozpalonej pustyni Afryki, — nigdzie nie zgubisz obrazu tej godziny. Nie pomogą tajemnicze wdzięki Wschodu, ani cisza amerykańskich lasów, — wszędzie będzie stać przed tobą widmo zamordowanej matki!“

Lola chciała pokonać i stłumić ten głos sumienia. Gniewała się na samą siebie za tę małoduszność, — — zwykle nie drżała przed żadną zbrodnią.

Niezawsze skutek wieńczy dzieło.

Lola nie mogła się skarżyć na wynik tej nocy; usunęła wroga, który groził jej zdemaskowaniem oszustwa popełnionego na Kazimierzu. — Tylko Anielcia mogła się jeszcze zjawić i dowieść Kazimierzowi całą prawdę, — że Lola, ulicznica, którą wypędził ze swojego domu, wkradła się powtórnie w jego serce.

Nie, Anielcia nie wróci! Kazimierz należał teraz tylko do niej. — Nikt nie wiedział o jej oszustwie. Była panią sytuacji.



Fjordy skandynawskie posiadają jakiś swoisty charakter i kryją w sobie dużo piękna. Przypatrzmy się dobrze naszej fotografji a spostrzeżemy, że istotnie tak jest.

„Opuśćmy to miejsce“, zawołała Lola zapinając drżącą ręką płaszcz, który się rozpiął w czasie walki z Arabellą, „wracajmy do zamku! Jutro rano zobaczę Kazimierza. Dźwięk mojego głosu nie powinien zdradzić, com przyżyła tej nocy. Arabella nie wróci więcej, — spełniłam mój cel!. Opowiadano mi, że każdy topielec ginie w tym wirze i nie wypływa nigdy na powierzchnię wody. Nie, nie, — jestem zabezpieczona przed odkryciem. Do domu, — precz z tej przeklętej skały. Podróż zagranicę uspokoi moje nerwy; zapomnę prędzej o zdarzeniach tej nocy!“

Lola zauważyła nagle, że się oderwał jeden z guzików.

Widocznie oderwała go Arabella, walcząc ze swoją występną córką. Pytanie tylko: czy guzik pozostał w ręce Arabelli i spadł z nią do rzeki, czy też leży gdzie na trawie? W tym wypadku oderwany guzik mógłby ją zdradzić.

Niejeden morderca zawdzięcza temu tylko swoje stracenie, że po spełnionym czynie nie oglądnął uważnie ubrania, zanim opuścił miejsce zbrodni.

„Muszę znaleźć ten guzik“, zawołała Lola, „tutaj leży zapewne!“

Pochyliła się i zaczęła szukać.

Lecz w tej samej chwili, kiedy zbliżyła się do lilji, odskoczyła nagle z głuchym okrzykiem, posłyszała bowiem ton, podobny do ludzkiego głosu.

„Boże“, zawołała Lola, „jestem zgubiona! Ktoś obserwował mię przez cały czas! — Tam na trawie leży mężczyzna! — — —“

Śmiertelna trwoga wstrząsnęła ciałem pięknej grzesznicy, tak, że nawet nie miała czasu spojrzeć na tego ukrytego człowieka.

Porwała swój kuferek i opuściła szybko skałę Lorelei.

Jak szalona rzuciła się na ścieżkę i biegła przez pół godziny wzdłuż brzegu Warty.

Wreszcie odważyła się przeprawić na drugą stronę.

Lola uspokoiła się powoli. Wmawiała w siebie, że się pomyliła i cień wzięła za człowieka. A nawet gdyby to był mężczyzna, to zapewne był pijany i spał silnie, gdyż inaczej byłby jej przeszkodził w zamordowaniu matki.

Widocznie nic nie zauważył i dlatego z jego strony nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Lola, przyszedłszy do zamku, była pewną, że ją oszukały naprężone nerwy. Prawdopodobnie podrażniona fantazja pokazała jej śpiącego człowieka.

Zgubiony guzik nie sprawiał jej żadnego kłopotu. Zapewne wpadł do Warty. A nawet, gdyby upadł na skałę, — to przecież to nie było żadnym dowodem? Jeżeli trup nie zostanie odkryty, to wogóle nikt nie będzie miał prawa łączyć ten guzik z innemi kombinacjami. Nie, ta zbrodnia, spełniona pod osłoną nocy, nie miała żadnego świadka — prócz Boga!

Bóg! — Lola nie bała się Go!

## CLXV.

### Cud Boży

Słoneczna tarcza pojawiła się na wschodzie. Różowa jutrzenka złociła swym blaskiem fale Warty. Na skale Lorelei leżał ciągle śpiący mężczyzna.

Teraz poruszył się, gdyż poranny wiatr rzucił na jego twarz uschnięty listek.

Kazimierz podniósł się i usiadł na świeżej murawie. Wsparł głowę na rękach i przymknął senne oczy.

„Dziwne,“ — szepnął, — „straszny sen. Z początku tak piękny i uroczy, a później nadzwyczaj nieprzyjemny. Widziałem Loreley, która mi obiecała przywrócić wzrok.

„Potem śniłem o Anielci i Loli, walczącej na tej skale z jakąś kobietą, którą wreszcie wrzuciła do spienionej rzeki. Słyszałem śmiertelny krzyk i chciałem jej podać rękę. Lecz nieprzeparta siła trzymała mnie w jednem miejscu, straciłem władzę w nogach. Zaspałem i nie spełniłem zamiaru, z którym przyszedłem na tę skałę.

„Ciekawym, czy już noc przeszła? — O, otwórzcie się, ociemniałe oczy. Chciałbym wreszcie zobaczyć różnicę między dniem a nocą! Precz z tą zasłoną! — Boże, co się stało? — Światło! — światło! — O, jakaś jasność! — Lecz nie, nie, — to tylko sen!"

Kazimierz upadł bezwładnie na murawę. Był przekonany, że śni jeszcze ciągle.

Przerażony jasnością zamknął szybko powieki. — Teraz klęknął na kolanach i otwierał wolno oczy.

Okrzyk, — radosny okrzyk zadrżał z jego ust, — okrzyk radości pomieszanej z trwogą.

Nie, — nie! Nie spał i nie śnił. Nagle zniknęła ciemna, długa noc.

Dokoła panowała oślepiająca jasność — Spojrzał w górę i zobaczył błękitne niebo, — a u stóp szumiała spieniona Warta. A tam, — po lewej stronie, — rosły piękne lilie. Przed sobą widział zieleń i ciemny skrawek lasu.

Kazimierz wyciągnął ramiona i ze zdumienia nie mógł wymówić ani słowa. Wzruszenie odebrało mu mowę, a perlisty pot wystąpił na wysokie, piękne czoło. Drżał jak małe dziecko.

Kazimierz zerwał się i otwarł szeroko oczy. Zdawało mu się, że jednem spojrzeniem musi objąć całą przyrodę i uroczą panoramę, roztaczającą się przed jego oczyma.

Widział, — odzyskał znowu wzrok! Zasłona, zakrywająca jego oczy, została nagle zerwana!

Tak, w nocy nastąpiło nagle polepszenie. Sprawdziło się przyrzeczenie Loreley, — uroczy sen urzeczywistnił się nadspodziewanie.

Spełnił się jeden z tych tajemniczych cudów, którymi niezbadana natura obsypuje ludzi.

Czego nie dokonali najsłynniejsi lekarze, to spełniła nagle natura cicho i niewidomie.

A przecież natura posługuje się tylko środkami, które spoczywają w jej łonie, — pojedyńczymi, naturalnymi środkami, które człowiek spotyka na każdym kroku.

Kazimierz spał przez całą noc pod gołem niebem.

Jak już nadmieniliśmy, ukrył twarz w wysokiej trawie, przesiąkniętej rosą.

Poranna rosa obmyła jego oczy i przywróciła mu dawno utracony wzrok.

Tak, Kazimierz Zamski widział.

Zwrócił się ku słońcu i wpatrywał się chciwie w słoneczne blaski, lecz po chwili był zmuszony przymknąć powieki.

Następnie otwarł oczy i spojrzał na rzekę. Widział małe statki i czółna, chwiejące się na wodzie.

Tam w górze stał jego zamek, gniazdo prastarej rodziny.

Lewym brzegiem rzeki szedł wieśniak ze swoją żoną. Trzymali się za ręce i tulili do siebie.

Tak, widział! Świat nie wydawał mu się nigdy tak pięknym! Wszystko było dla niego nowością: motyle, spijające słodycz z kwiatów, — owady, latające w powietrzu, — ryby, pluskające się w rzece, — rój pszczół, — wszystko to cieszyło go i zachwycało, — gdyż jego oczy widziały znowu życie.

„O drogi Boże!" zawołał Kazimierz łzawym głosem, „spełniłeś cud i zlitowałeś się nad Twoim sługą! Nie wiem, czem zasłużyłem sobie na Twoją dobroć. — Klęczę i modlę się do Ciebie, Panie, byś mi przebaczył wczorajsze zwątpienie!

„Byłem szalony, żem zwątpił o Twojej dobroci i litości! Zimny dreszcz wstrząsa mojem ciałem na samą myśl, że gdyby nie znużenie, to bym już leżał na dnie rzeki. O, dzięki Ci, Boże, za tę łaskę. Nie wyobrażam sobie radości mojej żony, gdy jej oznajmię tę radosną nowinę. Więc przyjm, o Stwórco, nasze wspólne dzięki!

„Nie, szkoda każdej minuty. W zamku śpią prawdopodobnie wszyscy, gdyż story w oknach są spuszczone.

„Boże, — ja widzę. — Teraz dopiero odczuwam całą doskonałość wzroku.

„O, wy szaleni ludzie, dlaczego bierzecie tak obojętnie dary życia jakby, były waszą wyłączną własnością? Jeżeli stracicie jeden z tych darów, wtedy rozpoznacie dopiero znaczenie i wielkość niepowetowanej zguby!

„Żegnaj, święta skało, tobie zawdzięczam mój wzrok," mówił młody hrabia, spoglądając z wzruszeniem na skalistą górę, „żegnajcie, białe lilje i ty, cudowna trawo, któraś uzdrowiła mnie swoją rosą. Dziękuję wam, — — żegnajcie, żegnajcie!"

Kazimierz, wymawiając te słowa, pochylił się i podniósł mały, okrągły przedmiot, leżący na trawie.

„Guzik z perłowej masy!" zawołał „Kobiety noszą zwykle takie guziki. Wezmę go jako pamiątkę ze skały Loreley, z tego cudownego miejsca, które przywróciło mi utracony wzrok. Będzie mi zawsze przypominał, żem tutaj ozdrowiał nagle."

Kazimierz schował ten guzik do kieszeni i skierował swe kroki na ścieżkę, prowadzącą do doliny.

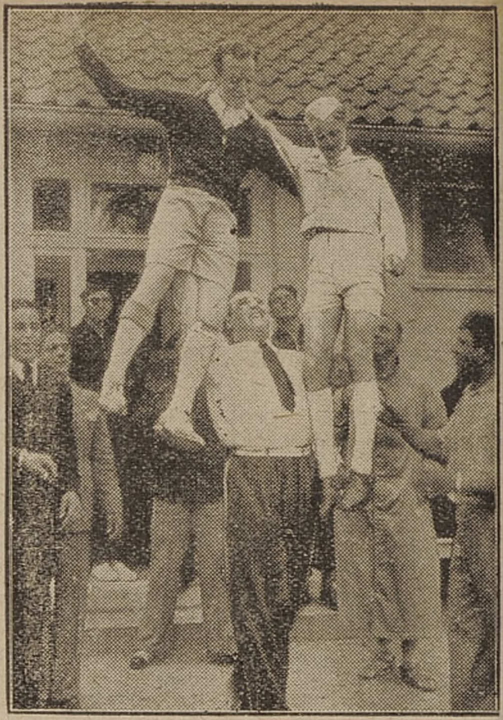
Ach, jak odmiennym jest ten powrót od wczorajszej smutnej wędrówki na skałę! Wczoraj jeszcze nie widział i na każdym kroku musiał się obawiać przed niespodziewanemi przeszkodami.

Kazimierz kroczył lekko i swobodnie, jakby nagle odmłodniał. Zdawało mu się, że liczy dopiero dwadzieścia lat. Teraz nie brakło mu nic do szczęścia, miał wszystko, czego pożądało jego serce. Był zdrów i widział!

Nagle zatrzymał się i bolesny uśmiech przeleciał po jego twarzy.

„Czyżbym rzeczywiście był szczęśliwy," zawołał. — „Ach, Zygmuncie Sokolski, mój drogi przyjacielu i Elzo Rodeń, brak mi was, losy wydarły mi tych ukochanych ludzi! Moje szczęście nie jest zupełne! Lecz nie chcę być niewdzięcznym," mówił Kazimierz, idąc brzegiem rzeki, — „człowiek nie powinien żądać wszystkiego od losów.

Nikt nie jest zupełnie szczęśliwym. — Zaiste prawdę powiedział poeta. Gdybym miał przy sobie hrabiego Zygmunta i Elżutkę Rodeń, tobym zawołał: boję się wzbudzić zazdrość u bogów!"



Egipcjanin, Montar Hussein, rekordzista w podnoszeniu ciężarów, popisuje się w Berlinie swoją siłą. Widzimy go na zdjęciu w chwili podnoszenia dwóch mężczyzn normalnego wzrostu.

Kazimierz spotkał starego pasterza, pędzącego trzodę. Pozdrowił go, sięgnął ręką do kieszeni, wyjął złotą monetę i pchnął ją biednemu człowiekowi.

Stary pasterz zdziwił się, że niespodziewanie otrzymał taki podarunek.

Nie wierzył temu szczęściu i chciał mu zwrócić złoty pieniądz, lecz Kazimierz położył rękę pasterzowi na ramieniu i odparł z uśmiechem:

„Nie sądźcie, że jestem fałszerzem pieniędzy; przed wami stoi hrabia Kazimierz Zamski, właściciel tego zamku na skale. Dzisiaj spotkało mnie wielkie szczęście, dlatego pragnę i wam zrobić radość. Lecz powiedzcie mi za to która godzina? Zostawiłem zegarek na zamku."

Kazimierz rzeczywiście nie miał przy sobie zegarka; nie chciał bowiem brać go ze sobą do Warty.

„Jak późno?" odparł pasterz, „będzie może piąta! Przed chwilą dzwoniono w mieście na poranną mszę. Nie słyszał pan?"

„Słyszałem; nie zwracałem jednak uwagi na dzwonienie," odparł Kazimierz.

„Gdzie mieszka najbliższy przewoźnik?"

„O jakie sto kroków dalej mieszka rybak, który przewiezie chętnie pana na drugą stronę. Dziękuję stokrotnie wielmożnemu panu za łaskawy dar. Gdyby jednak panu było żal, to zwrócę chętnie złotą monetę. Nazywają mnie „Krówczakiem"; jestem w mieście na służbie."

„Dobrze, dobrze," zawołał wesoło Kazimierz, „nie żal mi tych pieniędzy. Żegnajcie, — bądźcie zdrowi!"

Kazimierz zbliżył się po chwili do rybaka, siedzącego w łódce, który łowił ryby wędką.

„Rybaku, przewieźcie mnie na drugą stronę, — zapłacę suto!“ rzekł spokojnie Kazimierz.

„Chętnie, wielmożnyy panie!“ odparł rybak. Siadajcie do łódki!“

W dziesięć minut później Kazimierz znalazł się na drugim brzegu.

Wychodząc z łódki, wręczył rybakowi złoty pieniądz i dodał z swobodnym uśmiechem:

„To lepszy połów, jak na wędkę. Żegnajcie i zapamiętajcie sobie, żeście dzisiaj przewieźli szczęśliwego człowieka.“

Kazimierz nie czekając na odpowiedź, biegł szybko do zamku. Wszedł znowu przez tę małą furtkę, którą opuścił wczoraj zamek.

Kazimierz starał się wejść niepostrzeżenie do swojej sypialni. Zależało mu na tem, by Anielcia, — sądził ciągle, że Anielcia została jego żoną, — nie zauważyła tego, że spędził noc poza zamkiem.

Nie, nie powinna się o tem dowiedzieć! Nigdy nie wyjawi jej, że się nosił z samobójczym planem.

Wszedł cicho na schody i rzeczywiście udało mu się osiągnąć sypialnię. Jego żona spała, — było tak wcześnie.

Kazimierz, przekroczywszy próg sypialni, posłyszał szmer w sąsiednim pokoju. To była zapewne Anielcia.

Zbliżył się do drzwi i słuchał. Tak, słyszał wyraźnie, chodziła po pokoju.

Kazimierz przekonał się, że drzwi były zamknięte. Więc Anielcia nie była w nocy w jego pokoju i nie wiedziała o jego nieobecności.

Kazimierz pomyślał sobie w duchu, czyby nie było lepiej zrobić ukochanej niespodziankę. — Nie powie jej odrazu, że wyzdrowiał. Przeciwnie z początku będzie udawał, że nie widzi, a w odpowiedniej chwili przekona ją o odzyskanym wzroku.

Cieszył się jak dziecko tą myślą i wyobrażał sobie w duchu rozpromienioną twarzyczkę Anielci i jej zapłakane z radości oczy, gdy jej wyjawi całą prawdę.

Przymknął oczy i otworzył wolno drzwi, prowadzące do drugiego pokoju.

## CLXVI.

### Sen — życie

W tej samej chwili, kiedy Kazimierz stanął na progu sypialni Loli, piękna awanturnica wyglądała przez okno na Wartę. Bladość pokryła jej oblicze i była podobna do marmurowego posągu.

Powróciwszy w nocy do zamku, — właśnie wybiła pierwsza godzina, — oparła się o okno i spoglądała ciągle na fale Warty.

Nieprzeparta siła zmuszała ją do tego. Widziała spienione fale Warty, i — ciągle się jej wydawało, że za chwilę pokaże się na wodzie skostniały trup i przepłynie pod jej oknami.

Dziwne, sądziła, że zapomni łatwo o tym strasznym czynie, lecz widok matki zlatującej ze skały Loreley do rzeki stał ciągle przed jej oczyma.

Przypomniała sobie stare przysłowie: „Oliwa wyjdzie na wierzch.“

Odkryją jej występny czyn? Ach, nie bała się słońca, bo słońce nie widziało jej zbrodni.

Ale księżyc i gwiazdy.

Ach, czy ci milczący towarzysze zdradzili kiedy? — Krążą cicho i spokojnie po niebie i nie troszczą się o ziemskie sprawy.

Lecz Warta, stara polska rzeka, czy nie wystąpi jako oskarżycielka? Lecz i Warta jest tylko niewolnicą ludzi. Milcząco służy ludziom i unosi na swym grzbiecie statki i łódki. Widziała niejedną zbrodnię i ukryła ją w swojem łonie.

Nagle wzdrygnęła się Lola; posłyszała za sobą kroki. Kto nadchodził?

Odwróciła głowę; był to Kazimierz, stojący przy — drzwiach sypialni.

Kazimierz! — Dla niego popełniła morderstwo! Dla niego zabiła własną matkę i splamiła swoje ręce matkobójstwem! — Byle tylko go nie stracić i jego miłości, która była dla niej jedynym celem w tem życiu.

„Wszystkim grzesznikom zostaną odpuszczone winy, tylko nie matkobójcom!“ zawołała Arabella umierającym głosem.

W duszy Loli brzmiał ciągle ten straszny ton.

Lecz zobaczywszy Kazimierza, zawołała do siebie:

„Niechaj odpokutuję mój czyn w piekielnych płomieniach, ale tu na ziemi muszę czuć bicie jego serca i spijać miłosną rozkosz.“

Lola zbliżyła się do ukochanego. — Rzuciła mu się w objęcia i objęła go z taką namiętnością, że Kazimierz cofnął się prawie z przerażeniem.

„Tak wcześnie wstałeś?“ zapytała piękna awanturnica, tuląc się do niego z uśmiechem. „Nigdy nie wstajesz o tej godzinie!“

Kazimierz przymknął oczy i odparł z swobodnym uśmiechem:

„Tęskniłem za toba, Anielciu! Będziemy razem wyglądać przez okno na Wartę. Ach, miałem takie dziwne sny tej nocy.“

„Złe, czy dobre?“ badała Lola.

„Tak i nie!“ odparł Kazimierz; „wystaw sobie, widziałem we śnie tę kobietę, o której myślę zawsze z pogardą, — wiesz, o kim mówię.“

Lola zbladła.

„Wiem, masz na myśli Lolę,“ rzekła stłumionym głosem.

„Tak, o Loli,“ odparł gorzko Kazimierz. „Widziałem coś nieludzkiego. Lecz nie mówmy o tem. Ten sen, w którym widziałem Lolę, był za potworny, bym go mógł opowiedzieć. Droga Anielciu, zaprowadź mnie do salonu i każ podać śniadanie.“

Lola ujęła Kazimierza za rękę i zaprowadziła go do dużej sali na drugiem piętrze. Tam zamierzał zrobić jej miłą niespodziankę.

Weszli do salonu. Kazimierz poprosił Lolę, by otwarła drzwi, prowadzące na balkon. Po chwili świeże ranne powietrze wypełniło całą salę, a Kazimierz, stanąwszy na środku, rzekł:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

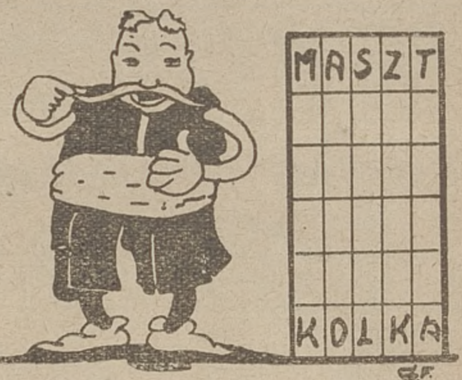


Dnia 18 lipca, w godzinach południowych, znalazł śmierć, wskutek katastrofy samolotowej, w nurtach Bałtyku, generał Orlicz-Dreszer, inspektor obrony powietrznej państwa i prezes Zarządu Głównego LMK. W 30 minut po tragedji przyjechała do Gdyni na statku „Piłsudski“, żona gen. Dreszera z Nowego Jorku i... towarzyszyła już tylko mężowi na Oksywie, do kostnicy szpitala morskiego marynarki woj.

## CHWILA ZASTANOWIENIA

### METAMORFOZA

ułożył F. Gałecki — Głowno




Wyraz „maszt“ zmieniamy po jednej literze tak długo, aż otrzymamy wyraz, podany na końcu.

### BILETY WIZYTOWE

RAFAL SEGITET

Odgadnąć zawód?

WAZA WARS

Gdzie właściciel biletu mieszka?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 31 lipca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 28 „Moich Powieści“: Rebus wirowy: „Prawda w oczy kole“. Bilety wizytowe: Sztokholm, Władywostok Belgrad.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Aleksander Jezierski — Mogilno, Jadwiga Glapa — Bydgoszcz, M. Pankiewiczówna — Dębogóra, Marta Kulcenty — Fałkowo, Kazimierz Jankowski — Nowemiasto, Wacław Goździejewski — Zimnowoda, Paweł Rogowski — Góra, Józef Cichowski — Byszki.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: M. Pankiewiczównie z Dębogóry i Pawłowi Rogowskiemu z Góry.

# HUMOR

*Mądre zarządzenie*

Lekarz do pielęgniarki: — A więc kuracja jest całkiem prosta. Pacjent nie dostaje nic do jedzenia, jedynie łyżkę tego lekarstwa po obiedzie.

*Kochające się rodzeństwo*

— No. Feluś, ale mógłbyś swojemu małemu braciszkowi także czasem dać saneczki.
— Daję, proszę pana — on zawsze ciągnie je pod górę.

*Tragedja artysty*

— Dwadzieścia lat minęło zanim zrozumiałem, że nie mam najmniejszego talentu!
— To znaczy, że przestałeś zupełnie malować?
— Nie mogę — w międzyczasie stałem się sławny!

*Idealistka*

— Nie pozwolę ci wyjść zamąż za Gustawa. Zarabia niespełna 200 zł miesięcznie.
— Tatusiu, miesiąc szybko mija, gdy się kocha.

*Między sąsiadkami*

— Mąż pani wrócił wczoraj późną nocą?
— Czy słyszała go pani?
— Nie. Ale słyszałam panią.

*Dziedziczność.*

— Do kogo podobny jest właściwie twój synek?
— Oczy odziedziczył po mojej żonie, nos po mnie, a głos — zdaje mi się po klaksonie.

*Złośliwe pytanie*

— Tatuś, to ma dużo siwych włosów.
— To bardzo proste, mój synku. Ile razy synek martwi tatusia, to tatusiowi przybywa siwy włos.
— Tak? A dlaczego dziadziuś jest cały siwy?

*Potęga wymowy*

W warszawskich sferach sądowych dużą popularnością cieszą się małżonkowie R... On jest adwokatem, ana adwokatką, przyczem pani R... jest znacznie wymowniejsza od swego męża.
— Wiecie, panowie — zwierza się mecenas R... w popularnej wśród adwokatów kawiarni przy ulicy Długiej — od trzech lat już nie rozmawiałem z moją żoną!
— Dlaczego?
— Nie chcę jej przerywać!

*Zbyteczne*

— Mężczyzna, za którego wyjdę zamąż, musi być bohaterem!
— Ależ moja droga! Nie wyglądasz jeszcze tak bardzo brzydko!

*Gdyby...*

— Dlaczego to pani tak bez przerwy zagląda do lustra?
— Patrzę, czy się nie zestarzałam.
— Hm.... to dziwne, a mnie się zdaje, że wystarczyłoby, gdyby pani kilka lat temu zajrzała raz jeden do paszportu.

*Tatuś mnie obudził...*

Mały Jaś budzi się i zaczyna głośno płakać
— Czego smarkaczu płaczesz, ledwo oczy otworzysz? — pyta go ojciec.
— Bo mi się śniło, proszę tatusia, że dostałem od mamy dwa ciastka i ledwo jedno z nich zjadłem, tatuś mnie obudził.

*Nieszczęsny kot*

Dyrektor więzienia (do nowo odstawionego więźnia): — Toście się tu znów zjawili. Nie długo trwała wasza wolność, zaledwie kilka tygodni.
Więzień: — Panie dyrektorze, ja wiedziałem, że nie długo będę wolnym, bo gdy ostatni raz wychodziłem z więzienia, kot przeleciał mi przez drogę.

*Nie warto zaczynać*

Czemu ty wcale nie pracujesz?
— Bo w zimie są tak króciutkie dni, że nie warto nawet zaczynać.

*O zmroku*

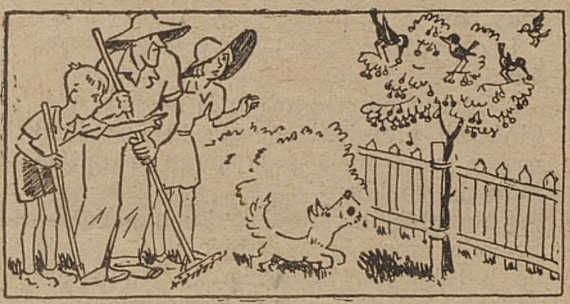
— Dokąd się tak spieszysz?
— Do domu!
— Co? Tak wcześnie?
— Chciałbym raz spędzić wieczór z moją żoną.
— No, no, cóż się tak nagle stało?
— Ona jest silnie przeziębiona, zachrypnięta i nie może prawie zupełnie mówić.

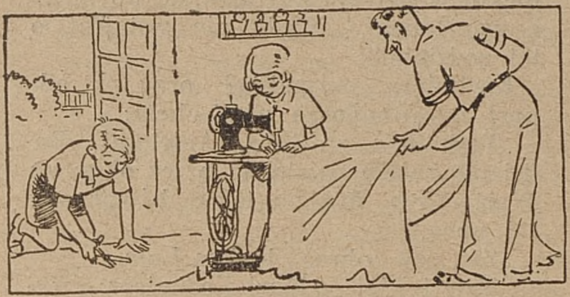
*Zaproszenie wujaszka ze wsi*

...Ktoś wyjdzie po ciebie na stację, drogi wujaszku. Aby cię łatwiej można było poznać, trzymaj pod pachą szynkę lub tłustą gęś!

*Wyjaśnienie*

— Wojciechu! Na co Pan Bóg stworzył ziemniaki?
— Ano, chyba, na to, żeby i biedny człowiek miał kogo ze skóry łupić...







Niezawodny sposób na przepędzenie wróbli i szpaków, które zazwyczaj dzielą się z właścicielem ogrodu jego czereśniami i wiśniami.

*Znaczący gest*

— Wczoraj zaproponowałem dyrektorowi Z. łapówkę, a ten mi wskazał drzwi!
— Co, wyprosił pana?
— Ach, nie... Dał mi tylko do zrozumienia, że może ktoś podsłuchiwać.

*Nie opłaci się*

— Wyobraź pan sobie, że mój konkurent z naprzeciwka Karakulski posłał mi list nieopłacony i musiałem zapłacić 40 groszy kary. A wie pan, co było w tym liście? Że jestem drań, bałwan i oszust.
— Gdybym był na pańskiem miejscu, tobym go zaskarżył.
— Co? O te głupie 40 groszy? Nie opłaci się.

*Rezolutny wnuk*

Dziadek: — Jasiu, przynieś mi moją fajkę. Twoje nogi są młodsze, niż moje...
Wnuk: — Czy nie byłoby lepiej, dziadziu najpierw zużyć te stare?

*Nieporozumienie*

— Jakto Ludwik nie ma ani grosza? A powiadałaś mi, że on jest taki bogaty!
— Bo widzisz ja go źle zrozumiałam. On oświadczył mi tylko, że ma więcej pieniędzy niż rozumu...

*Szczęście*

Do komisarjatu przychodzi panienka, trzymając za rękę dwunastoletniego chłopca.
— Znalazłam tego chłopca na ulicy.
— Winszuję pani — mówi policjant. — Jeżeli w ciągu roku nikt się po niego nie zgłosi, może go pani zatrzymać na własność.

*Demon gry*

W pewnej szkole nauczyciel przyłapał ucznia na grze w karty podczas lekcji. Złajał go za to sumiennie i jeszcze wlepił mu pałkę ze sprawozdania.
— A czy wiesz za co dostałeś tak zły stopień?
— Owszem...
— No, więc za co? Powiedz głośno!
— Bo wyszedłem w trefle, a powinienem był wyjść w piki.

*Szkocki czas*

Dwaj Szkoci po długiem niewidzeniu spotykają się przypadkiem.
— Hurra! Murfy — krzyczy jeden — to ty? Nie widziałem cię blisko piętnaście lat!
— Więcej nawet niż piętnaście lat, mój drogi. Ale co słychać u ciebie? Opowiedz mi coś porabiał przez te kilkanaście lat!
— Z przyjemnością! Chodź do cukierni, wypijemy sobie coś i pogadamy. Ale pamiętasz? Ostatnim razem, to ja płaciłem.

*Urzędowo*

— Panie dyrektorze, żona zasyła pozdrowienia i całusy.
— Dobrze, proszę mi je później osobiście doręczyć.

*Łagodność*

Żona: — Mnie zawdzięczasz, że jesteś tem, czem cię zrobiłam!
Mąż: — Dobrze moja droga nie robię ci przecież z tej racji żadnych wymówek.

*Fatalna cyfra*

Gość: — Co?! Mój rachunek wynosi trzynaście złotych? To fatalne!
Kelner: — Czy, pan szanowny taki przesądny?
— Nie! Ale mam tylko osiem złotych!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJĄ
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.



Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.